DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 59.] SOBOTA 16. WRZEŚNIA 1911. [Rocznie....10. K (4 Rb., 8 Mk. [Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Początki nowego Koła.

Nowe Koło Polskie zebrało się na pierwsze posiedzenie d. 15 lipca b. r. i w ciągu dwutygodniowej sesyi parlamentarnej otwartej 17 lipca a odroczonej 29 lipca, stawiało pierwsze swe kroki na gruncie parlamentu wiedeńskiego,

Własnych posiedzeń odbyło Koło Polskie w tym czasie siedm i załatwiło na nich, poza zwykłymi drobniejszymi wnioskami poszczególnych posłów, następujące sprawy. D. 15 lipca wybrano prezydyum i komisyę parlamentarną Koła oraz wyznaczono przedstawiciela Koła w prezydyum Izby. D. 17 lipca uchwalono wnieść imieniem Koła wniosek nagły w sprawie zajść drohobyckich. D. 20 lipca postanowiono przy wyborze prezydenta Izby Posłów głosować na p. Sylwestra, z zastrzeżeniem, że godność tę piastować powinni kolejno raz przedstawiciel narodowości niemieckiej raz innych narodowości, oraz uchwalono głosować za przedłożeniem bankowem pod warunkiem, że wypłaty w gotówce nie mogą być wprowadzone bez głosowania parlamentu. D. 25 lipca wyznaczono przedstawicieli Koła do komisyi izbowych. D. 26 lipca uchwalono rezolucyę polityczną Koła. D. 28 i 29 lipca przyjęto sprawozdanie prezydyum o rokowaniach z rządem w sprawie kanałów (co do której chodzi obecnie o to, aby rząd dotrzymał zobowiązań wywalczonych przez poprzednie Koło Polskie) i poruczono prezydyum jako komisyi przedstawienie wniosków w sprawie zmiany statutu Koła.

Udział Koła Polskiego w pracach całej Izby odnosi się do dwu spraw, któremi się ona, poza rozprawą drożyźnianą, zajmowała: bankowej i drohobyckiej. W sprawie bankowej, zastrzeżenie co do wprowadzenia wypłat gotówką tylko na mocy uchwały parlamentu, powzięte w Kole na wniosek pos. Buzka, jest zgodne z dawniejszą uchwałą Sejmu naszego, i zostało przygowane staraniami dawnego Koła a obecnie w parlamencie uwzględnione zostało rzeczywiście na podstawie osobnej ustawy regulaminowej dla tej sprawy. W sprawie drohobyckiej, musiało Koło Polskie pierwotny wniosek, przedstawiony w Kole przez posła Grossa, a domagający się śledztwa i odszkodowania dla ofiar, uzupełnić jeszcze w ostatniej chwili żądaniem, by rząd wyniki śledztwa przedstawił Izbie, i dopiero w tej postaci został wniosek Koła Polskiego przyjęty a inne odrzucone.

W czasie tych krótkich początków zaznaczyły się już jednak w nowem Kole rysy i zjawiska godne bacznej uwagi.

* * *

Źle by jednak postąpił, ktoby, chcąc się zapoznać z działalnością obecnego Koła Polskiego, nie rozczytywał się jak najgorliwiej w tem co o niem pisze *Czas*. Dopiero wtedy wiele rzeczy, które człowiekowi nieostrzeżonemu wydałyby się bardzo powszedniemi, przedstawi mu się jako niezmiernie ważne, a takie które wydawałyby się niepomyślnemi, zrozumiane będą jako wielkie powodzenie. Kto zatem chce się podnieść na duchu i poznać jak to właśnie dopiero to Koło Polskie dokonywa na każdym kroku czynów politycznych niezmiernie doniosłych, niech czyta *Czas*. A jeśli przypadkiem chce kto i ubawić się nieco przy tej sposobności, to niech także czyta *Czas*.

Bo rzeczywiście aż łuna bije z łamów *Czasu* od tego blasku, w którym tam chodzi obecne Koło Polskie, aż drżą kartki *Czasu* od nieustannych okrzyków zachwytu i radości.

Zanim jeszcze nowe Koło Polskie stanęło w Wiedniu, już chwała jego rozbrzmiewała nad Dunajem: „Nowo wybrane Koło poprzedzone najlepszą sławą rozpocznie swą działalność“ (nr. 311 z 12 lipca). — Skład nowego Koła najlepiej polecony będzie, jak zwykle bywa z naszemi wielkościami, tem co obcy o nich myślą: „Kraj wysłał do parlamentu, jak to także niemieckie pisma ciągle podnoszą, swoje najbardziej doświadczone i najzdolniejsze siły“ (nr 313 z 13 lipca). — W Wiedniu tylko patrzą jakby nam dogodzić: „Br. Gautsch kilkakrotnie i z naciskiem zapewnił, że bardzo wiele mu zależy na dobrych stosunkach z Kołem i że dlatego też liczyć się będzie nadzwyczajnie z potrzebami Galicyi“ (nr. 312 z 12 lipca i tosamo nr. 313). — Wybory prezydyum i komisyi parlamentarnej, zalecone na samym wstępie oczywiście znowu tem, że „Koło Polskie ukonstytuowało się w sposób który w nowej Izbie wywołał silne wrażenie“, wywołały nie tylko stwierdzenie, że „do prezydyum i komisyi parlamentarnej wybrano najtęższe siły polityczne“, nie tylko podkreślenie, że między innemi „powołanie do komisyi parlamentarnej p. Jaworskiego, podyktowane rzeczowymi względami, uprawnia do najlepszych nadziei“, ale wręcz okrzyki radości, że wysłano „do jeneralnego sztabu tyle talentów i tyle doświadczenia“, aby znowu zamknąć wrażeniem jakie to wywarło w świecie współczesnym: „Starsi i doświadczeńsi posłowie z innych klubów ciągle jeszcze omawiają wynik sobotnich wyborów w Kole Polskiem; wszyscy przyznają, że przy takiem prezydyum i takiej komisyi parlamentarnej, Koło Polskie wnet odzyskać musi dawne stanowisko

i stać się w izbie kierującem; a nowym dygnitarzom Koła z wszech stron składają gratulacye" (nr. 319 z 17 lipca).

Ba, nawet i w samem Kole najpiękniejsza sielanka: „Wśród członków Koła Polskiego nie widać ani śladu rzekomej zapalczywości, głoszonej przez pewne dzienniki; posłowie narodowo-demokratyczni tak serdecznie witają się z innymi, że aż pokusa bierze przez parę zdjęć fotograficznych dostarczyć wyborcom właściwej ilustracyi do jadem ziejących artykułów wszechpolskiej prasy" (nr. 319 z 17 lipca). Coprawda później, gdy posłowie, przywitawszy się już, zaczęli mówić, dalszych obrazków podobnie sielankowych nie podawano.

A jakże pięknie było dopiero na uroczystości mowy tronowej i jak dobrze i pogodnie wszystko nam tam wróżyło! „Ogólnie podnoszono wyborny, kwitnący wygląd cesarza; cesarz czyta głośno, wyraziście i przy ważnych ustępach z silnie markowanem uczuciem; od czasu do czasu słychać wśród posłów dyskretne brawa". Wszystko szło tak składnie że aż zadziwiało: „Mowa tronowa, pięknie a jednak (?) przejrzyście ułożona". I zagranica dopisała, ale przedewszystkiem „uwagę zwracała na siebie elegancka postać francuskiego ambasadora Crozier, który przechodząc salę opierał się lekko na lasce". Miło tam było i pogodnie: „Panowie skracają sobie czas polityczną rozmową; niektórzy zbliżają się do estrady pań; do grupy pań polskich zbliża się pierwszy młody poseł Haller..." (nr. 322 z 19 lipca).

Parlament, stolica i monarchia wpatrzone są i nadal w Koło: „Nacechowane wielką powagą uchwały Koła zwracają na siebie uwagę zarówno prasy jak kół parlamentarnych" (nr. 329 z 22 lipca). — Rezolucya Koła Polskiego już przed pojawieniem się trzymała umysły w napięciu: „Na uchwałę Koła Polskiego czeka świat polityczny austryacki z pewnością z wielkiem naprężeniem" (nr. 331 z d. 24 lipca). Po uchwaleniu jej nie było zawodu: „Uchwała Koła Polskiego ma charakter nawskróś polityczny i to ją odróżnia od szeregu poprzednich; wynosi ona Koło Polskie wysoko pod względem politycznym" (nr. 341 z d. 29 lipca).

Nawet sprawa drohobycka staje się rozkoszą: „Wczorajsze posiedzenie Izby było ogromnym tryumfem Koła Polskiego; sprawa drohobycka, która w innych warunkach byłaby dla Koła Polskiego rzeczą nieprzyjemną, dzięki nowemu kierownictwu Koła stała się wielkim sukcesem" (nr. 342 z 30 lipca). Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe: sprawa drohobycka, bagno oszustw, 26 trupów i 55 rannych, wszystko to w naszym kraju, nie tylko nie jest „nieprzyjemną" dla obecnego Koła Polskiego jak „byłaby w innych warunkach", chociaż musiało się ją załatwić na podstawie wniosku pos. Grossa uzupełnionego kompromisem z wnioskami socyalistów, Rusinów, Breitra i t. d., ale staje się, ona, ta sprawa drohobycka, „wielkim sukcesem" i „orgomnym tryumfem". Jest to istotnie szczyt powodzenia.

Jednem słowem wszystko poszło jak najlepiej i nawet przyroda ugiąć się musiała przed zwycięzcami: „Zwołanie Rady Państwa na drugą połowę lipca — krok ze względów klimatycznych ryzykowny, a w tym roku kanikularnym wprost niebezpieczny — okazało się w rezultacie szczęśliwem posunięciem na szachownicy politycznej" (nr. 343 z d. 31 lipca).

Takie to jasne, promienne, obrazy roztacza *Czas*. Koło Polskie, od którego mądrość aż bije, odrazu za łeb chwyciło wszystko i wszystkich tam w Wiedniu, i rzeczywiście co żywe naokoło, cały świat polityczny monarchii, patrzy z natężoną uwagą, z największym podziwem, z pootwieranemi gębami, na tych olbrzymów politycznych z Koła Polskiego. Rząd, stronnictwa innych narodowości, prasa, jednem słowam cały ten Wiedeń, z którym tak ciężko bywa, tylko patrzy jakby pójść na rękę Kołu Polskiemu. Wszystko idzie jak z płatka, same „sukcesy", same „tryumfy". Maluczko, maluczko, a Polska będzie.

Co to się stało? Jacyż to nowi posłowie nagle tak uświetnili Koło Polskie i wnieśli taki blask i potęgę. Kto są te „najzdolniejsze siły kraju" do tego dopiero Koła wysłane? O tem się w *Czasie* nie mówi... ze skromności. Ale też i nie potrzeba mówić, bo przecież wszyscy wiedzą, że pod tą nazwą „najzdolniejszych sił kraju", której nie wezmą do siebie pp. Bis lub Łyszczarz, Śliwiński lub Rychlik, Stern lub Steinhaus, i tylu innych nowych posłów, kryją się skromnie przedewszystkiem właśnie dwaj polityczni redaktorowie *Czasu* pp. Jaworski i Rosner. Oni to nagle tak bardzo podnieśli Koło Polskie i oczarowali cały świat polityczny Wiednia. Albo też może nie świat się odmienił, a tylko pp. redaktorom *Czasu*, gdy się znaleźli w Kole Polskiem i w jego większości, wszystko się tak pięknie, tak pogodnie, tak różowo przedstawia, że nawet ze stosu trupów drohobyckich wykrzesać umieją „wielki sukces" i „ogromny tryumf", co świadczy już nie tylko o dziwnie błogiem zadowoleniu i pogodzie umysłu, ani nawet o pewnem tylko upojeniu, ale o jakiemś chorobliwem rozigraniu mózgu.

Może starsi i rozumniejsi członkowie Koła Polskiego nauczą z czasem te nowe „najzdolniejsze siły", że zbyt gorliwie biorą się do rzeczy i że takie naiwne obwieszczanie „wielkiego wrażenia" jakie Koło Polskie co chwila wywołuje w świecie, oraz taka zapamiętała gonitwa za ciągłymi „sukcesami", takie, jednem słowem, pocieszne nadymanie się bez przerwy, tylko ośmiesza Koło Polskie, które w rzeczywistości ani taką chwałą nie lśni ani też nie ma przed sobą tak łatwych warunków działania.

* *
*

Pierwszym ważnym czynem nowego Koła Polskiego był wybór prezesa. Wiceprezesów i członków komisyi parlamentarnej w dzisiejszym stanie rzeczy poprostu wyznaczają grupy. Ale prezesa wybiera całe Koło lub przynajmniej większość Koła. Został nim, 45 głosami na 68 głosujących, p. Leon Biliński.

Był to wybór zdumiewający. Na parę dni przed dokonaniem go mało by się znalazło poważnych ludzi w kraju, którzyby wybór ten uważali za możliwy.

A to z następujących powodów.

Jak wiadomo, w sprawie budowy kanałów były dwa stanowiska: kraj (a w tym wypadku mówić można o wszystkich naszych

obozach) żąda wykonania ustawy z 1901 r. przynajmniej co do naszego kraju i budowania kanałów, a przeciwnicy ich chcieli dać nam za to odszkodowanie pieniężne, zresztą złudne, bo rząd odbijałby je sobie gdzieindziej na budżecie galicyjskim. Otóż przedstawicielem drugiego stanowiska był p. Biliński i to było jednym z powodów, dla których musiał ustąpić z gabinetu. Obecnie całe wybory, ze strony wszystkich stronnictw, odbywały się, co do kanałów, pod hasłem budowy ich a nie odszkodowań pieniężnych. I oto po wyborach prezesem Koła Polskiego zostaje główny, a nawet u nas bodaj jedyny, przedstawiciel stanowiska przeciwnego i to w chwili gdy o te kanały trzeba będzie niejedną walkę przeprowadzić. Taki wybór jest ze względu na najprostsze zasady życia parlamentarnego wręcz niesłychany.

Drugą sprawą, która wisi w powietrzu, jest sprawa żądań ruskich. Otóż znowu wiadomo, że p. Biliński, jako minister skarbu, zapuścił się w rokowania na własną rękę z posłami ruskimi, rozbudził w nich nadzieje większe niżby należało i to znowu był powód, dla którego musiał ustąpić z gabinetu. Wiadomo także, iż p. Biliński, żyjący od ćwierć wieku niemal poza krajem, nie zna dzisiejszego stanu stosunków polsko-ruskich, i np. za jego głównie przyczynieniem się sprawa mordercy ś. p. Andrzeja Potockiego została załatwiona tak jak została. Więc i ze względu na łatwe do przewidzenia rokowania w sprawie ruskiej wybór p. Bilińskiego zadziwia. Może ktoś powie, że właśnie dobrze, iż Rusini będą widzieli na czele Koła Polskiego polityka milszego im niż inni. Tak, ale Koło Polskie powinno, i to w takiej chwili bardziej niż kiedykolwiek, wybierać prezesa dla siebie a nie dla Rusinów.

Wreszcie działalność p. Bilińskiego na gruncie Koła Polskiego w ostatnich latach nie mogła nawet najśmielszym umysłom nasunąć przypuszczenia, że obecne Koło Polskie uzna, iż on właśnie nadaje się na prezesa Koła. W walkach stronniczych, które szarpały Koło Polskie, wziął p. Biliński udział bodaj najgorszy. Wszak to on właśnie, po tylu innych intrygach nasamprzód po jednej stronie potem po drugiej stronie walczących, nasamprzód przeciw p. Korytowskiemu potem przeciw p. Głąbińskiemu, a zawsze tylko o tekę ministeryalną dla siebie, doszedł wreszcie do tego, że nie wahał się obrzydliwymi podszeptami pokątnymi rzucić Breitera na prezesa Koła Polskiego. I oto teraz, gdy znowu jednem z głównych żądań poważnych ludzi w kraju przy tych wyborach było oczyszczenie Koła Polskiego z tych swarów i intryg, prezesem Koła Polskiego zostaje właśnie p. Biliński.

O tem wszystkiem wiedzieli dobrze członkowie Koła Polskiego, a szczególnie dobrze posłowie konserwatywni, którzy nie mogli nie zdawać sobie sprawy z tego, że p. Biliński, dzięki wielu swym niezaprzeczonym i bardzo wybitnym zaletom, może nadawać się na ministra i być naszym przedstawicielem w rządzie, ale na stanowisko prezesa Koła Polskiego nie nadaje się.

I dlatego nie trzeba sobie wyobrażać, że ten wybór odbył się tak łatwo i gładko jak mogło się wydawać i jak się powszechnie mówi. Myliłby się bardzo ktoby sądził, że p. Biliński był kandydatem grupy konserwatywnej, albo choćby tylko kandydatem krakowskiej prawicy narodowej, albo wreszcie osobistym kandydatem p. Bobrzyńskiego. Gdyby posłowie grupy konserwatywnej, w której wszyscy wybitni przewódcy na sobie samych poznali jak niepewny i niebezpieczny jest p. Biliński, mieli oświadczyć się swobodnie za własnym kandydatem, aniby pomyśleli o p. Bilińskim. Także p. Bobrzyński, gdyby pragnął prezesa po swojej myśli, prezesa, z którymby nie miał zbytnich kłopotów i niespodzianek, stokroć by wolał n. p. p. Germana, któremu tak rozgłośnie torowano drogę na to stanowisko. Nie posłowie konserwatywni oddali p. Bilińskiemu prezesurę Koła Polskiego i nawet nie p. Bobrzyński.

P. Biliński został prezesem Koła Polskiego jako kandydat p. Stapińskiego. A jeżeli chce się głębiej rzecz ująć, to trzeba powiedzieć: p. Biliński zrobił się prezesem Koła sam, przeciw wszystkim, posługując się p. Stapińskim.

Grunt do przeprowadzenia swego wyboru dał p. Bilińskiemu skład Koła Polskiego, które wedle siły liczebnej obejmuje: 24 ludowców, 21 konserwatystów, 12 demokraków, 10 demokratów narodowych, 3 poza grupami. Na podstawie samej liczby mogliby ludowcy, jako najsilniejszy odłam, żądać prezesury Koła Polskiego, w dzisiejszych stosunkach i pojęciach, dla siebie. Ale nie mają kandydata. Z kolei o stanowisko prezesa ubiegać się mogą konserwatyści. Ludowcy jednak, powołując się na swe prawa pierwszeństwa, mówią: dobrze, niech będzie konserwatysta, ale my mamy nasze żądania co do osoby, mianowicie oświadczamy się za p. Bilińskim. I cóż mieli zrobić konserwatyści, a przedewszystkiem ich większość, związana porozumieniem z ludowcami: czy stanąć ostro przeciw ludowcom i zarazem przeciw p. Bilińskiemu? Trzeba było ulec i p. Biliński został przez wymuszenie i ich kandydatem.

Dlaczego zaś p. Stapiński woli p. Bilińskiego niż innych, niż p. Bobrzyńskiego także, to p. Stapiński wie bardzo dobrze. Wiążą ich nie tylko owe dwa miliony i nie tylko wspólne intrygi na gruncie wiedeńskim. Wiąże ich to przedewszystkiem, że p. Stapiński czuje, iż z innymi politykami konserwatywnymi, a w szczególności z p. Bobrzyńskim, są pewne granice i że są jednak rzeczy lub stanowiska, których p. Bobrzyński nie da p. Stapińskiemu, a spodziewa się, że p. Biliński gotów dać w spółce z sobą wszystko. Może zresztą p. Stapiński i co do p. Bilińskiego nie jest pewny, ale mówi sobie: jeżeli z kim, to z nim. I dlatego trzyma się raczej p. Bilińskiego. Tak się ludzie z ludźmi wiążą w polityce od wieków.

W ten sposób, nie bez przymusu, stało się, że p. Biliński został prezesem Koła Polskiego.

* * *

Po wyborze nowy prezes Koła Polskiego, p. Biliński, wygłosił mowę, którą *Czas* podał wprawdzie w streszczeniu znacznie krótszem (nr. 318 z 16 lipca) aniżeli inne pisma, dodając w ten sposób do wszystkich innych jeszcze urok tajemniczości, ale której wielką doniosłość podkreślał i przypominał następnie wielokrotnie, a zazwyczaj w sposób bardzo mocny:

„Najważniejszym jest ten fakt polityczny, którym była mowa prezesa Koła Polskiego, wypowiedziana po jego wyborze; był to jedyny dotychczas program, określający przyszłość parlamentu austryackiego, jedyne ujęcie całokształtu położenia politycznego i jedyna dotychczas konstrukcya polityczno-parlamentarna“ (nr. 331 z 24. lipca).

Niezwykłą tę mowę warto rzeczywiście poznać. Ma ona różne części składowe, a każda z nich ma swoją historyę, czasem zakrytą, a zwykle ciekawą.

Uderzająco silny był ustęp odnoszący się do kanałów: p. Biliński zapowiedział, że jeżeli rząd nie zechce sprawy tej załatwić korzystnie, to on złoży godność prezesa Koła. Skąd ta nagła stanowczość p. Bilińskiego w sprawie kanałów? Dowiedzieliśmy się niebawem. W kilka dni po sesyi ogłosił *Kuryer Lwowski* dosłowne brzmienie deklaracyi przedłożonej p. Bilińskiemu z ramienia ludowców, wśród których znajdują się, jak wiadomo, gorliwi zwolennicy kanałów, przez pp. Angermana, Długosza, Kędziora i Średniawskiego. Deklaracya ta kończyła się słowami: „Od spełnienia tego postulatu uczynię zawisłem poparcie rządu przez Koło Polskie, gdyby zaś ten postulat nie został przez rząd uwzględniony, złożę godność prezesa Koła Polskiego“. Od przyjęcia tego zobowiązania czynili posłowie stronnictwa ludowego zawisłem oddanie p. Bilińskiemu swych głosów przy wyborze prezesa Koła. Tak się więc wyjaśnia, że p. Biliński, wygłaszając ów ustęp o kanałach, poprostu publicznie podpisywał weksel polityczny, który musiał, rad nierad, wystawić na piśmie ostrożniejszym posłom ze stronnictwa ludowego, chcąc dostać ich głosy.

Zwracał również uwagę ustęp, w którym p. Biliński zawiadamiał publicznie, że pojednał się z p. Korytowskim i prosi go o przyjazną pomoc. Znowu sprawa głosów, tym razem koserwatywnych. Bez tego pojednania p. Biliński dostać ich nie mógł. A ponieważ dawniej źle mówił o p. Korytowskim publicznie, nawet w pełnej Izbie szydząc sobie w mowie z ławy ministeryalnej ze swego poprzednika, trzeba było teraz także publicznie wyciągnąć rękę do zgody. W ten sposób zatem spłacał znowu p. Biliński weksel wystawiony wzamian za głosy posłów konserwatywnych.

A między te dwa skrypty dłużne wtrącił p. Biliński mimochodem i trzeci: gdy bowiem mówił ze szczególnym naciskiem o zaspokojeniu życzeń ubogiej ludności żydowskiej, była to tylko prolongata weksla, wystawionego w czasie ostatnich wyborów, wzamian za głosy, wyborcom żydowskim, którym p. Biliński obiecywał wówczas poufnie (ale rzecz się zdradziła) nawet otwieranie sklepów w niedzielę.

Wszystko to jednak ani nie przypomina zgoła Grocholskiego, Jaworskiego, Dzieduszyckiego, ani też niezupełnie wygląda na „jedyne ujęcie całokształtu położenia politycznego“.

Co było jeszcze w tej mowie? Zapewnienie, że Koło Polskie chce popierać dynastyę i państwo, że pożądane jest załatwienie sporu czesko-niemieckiego, podczas gdy polsko-ruski należy do Sejmu, że w większości parlamentarnej powinni się znaleźć i Niemcy i Czesi. I nic więcej. To są zatem te myśli takie nowe i takie śmiałe!

Trudno żądać, aby mowa tego rodzaju zawierała objawienie. Ale w głowie się nie mieści, jak można tumanić kraj wiadomościami, że był to „fakt polityczny“, „jedyna konstrukcya polityczno-parlamentarna“, „jedyny program określający przyszłość parlamentu“, „jedyne ujęcie całokształtu położenia politycznego“, jednem słowem coś niezmiernie doniosłego, co wywołało „naprężenie całego świata politycznego austryackiego“.

* * *

Wybory do komisyi parlamentarnych zostały obecnie w Kole Polskiem przeprowadzone w sposób, który był już nie tylko niestosowany lub szkodliwy, ale był, krótko mówiąc, brutalnem nadużyciem większości i brudnem bezprawiem nawet ze względu na obecny statut Koła Polskiego.

Mianowicie, wedle obecnego statutu, przyznającego każdej grupie Koła ilość miejsc w komisyach wedle jej siły liczebnej, przypadło obecnie: na 24 ludowców 2 miejsca, na 21 konserwatystów 2 miejsca, na 12 demokratów 1 miejsce, na 10 demokratów narodowych 1 miejsce, t. j. razem 6 miejsc, a siódme (bo do t. zw. wielkich komisyi Koło wyznacza 7 członków) albo powinno było być oddane posłom nie należącym do żadnej grupy albo też obsadzone z wyboru całego Koła. Otóż przed obecnymi wyborami p. Stapiński oświadczył, że ludowcy (24) porozumieli się z demokratami (12), a ponieważ razem mają 36 posłów, czyli bliżej 40 niż 30, należą się im razem 4 miejsca. Wprawdzie natychmiast kilku posłów wskazało, że na to zgodzić się nie można, ale większość, złożona z ludowców i konserwatystów krakowskich przyjęła tę sztuczkę i na tej podstawie dokonano wyborów.

Otóż statut Koła Polskiego żadnych takich układów przedwyborczych co do wyborów komisyjnych nie dopuszcza. Obowiązkiem prezesa Koła Polskiego było, nawet gdyby nikt się nie sprzeciwiał, odrzucić bez głosowania tę kombinacyę jako niezgodną ze statutem. To co zrobiono jest prostem oszustwem. W ten sposób bowiem 12 demokratów ma w niektórych komisyach po 2-u przedstawicieli zamiast należnego im wedle statutu 1-go, a 24 ludowców po 3-ech zamiast należnych im wedle statutu 2-u. Jest to zatem, ze statutem i z ołówkiem rachunkowym w ręku, proste oszustwo.

Rzecz się przedstawi jeszcze gorzej, jeżeli się zważy, że jedynym celem i skutkiem tego nadużycia było niedopuszczenie do komisyi członków Koła Polskiego, nie należących do żadnej grupy, lub niedopuszczenie wyboru z całego Koła, podczas gdy właśnie wszyscy poważni ludzie domagali się zniesienia klucza partyjnego w Kole i zarówno Rada Narodowa jak poszczególne stronnictwa przyjęły to ukrócenie partyjności w Kole jako jedno z haseł wyborczych.

Na pierwszem posiedzeniu Koła Polskiego d. 15. lipca p. Korytowski złożył uroczyste oświadczenie, że „frakcya konserwatywna nie przestanie dążyć do tego by statut zmieniono w tym kierunku, żeby frakcyj wogóle nie było“. Na ostatniem posiedzeniu Koła Polskiego, d. 29. lipca, na wniosek p. Korytowskiego po-

lecono prezydyum, by w tym duchu wygotowało projekt zmian w statucie Koła, i uchwalono to jednomyślnie. A w praktyce zasadę klucza partyjnego zastosowano jeszcze bezwzględniej niż kiedykolwiek dawniej i bezwzględniej niż pozwala statut obecny.

Czas zaś przeszedł w tej sprawie sam siebie. Ogłosił artykuł p. t. „Dzicy" (nr. 347 z d. 2 sierpnia), który ma już swą sławę w kraju. Wystarczy zestawienie zasady, z której ten artykuł wychodzi, z wnioskiem, który z niej wysnuwa. Zasada brzmi: „Zasadniczego swego stanowiska w tej kwestyi określać bliżej nie potrzebujemy; jesteśmy przeciwnikami zorganizowanych grup politycznych w Kole Polskiem, uważamy je za malum necessarium obecnego statutu i mamy nadzieję, że reforma statutu to zło usunie". A wniosek co do posłów, nie należących do żadnej grupy w Kole (bo w kraju należą do organizacyi politycznych czy stronnictw) brzmi: „Dziki jest w czasach dzisiejszych nieużytkiem politycznym, zjawiskiem bardzo niesympatycznem... Odrzucając wpływ dzikich Koło poszło za trafnym instynktem politycznym". O tem rozumowaniu i stosunku tych dwu zdań już wogóle nie trzeba rozprawiać: wystarczy zapukać w czoło.

* * *

Rezolucya Koła Polskiego zawiera, od pierwszego aż do ostatniego punktu, to co każda rezolucya Koła zawierała i co z góry było wiadome, bo oto, zdanie za zdaniem, jej treść: autonomia, polityka dynastyczna i mocarstwowa, gotowość popierania rządu, kanały, sanacya finansów krajowych, koleje lokalne, stała większość w Izbie, załatwienie sporu czesko-niemieckiego, zgoda Koła z Sejmem, załatwianie sprawy ruskiej na gruncie krajowym. Każdy starszy urzędnik Biura korespondencyjnego, któremu to już tyle razy przeszło przez ręce, mógłby z góry to wszystko tak ułożyć. I ostatecznie trudno aby było inaczej. Ale pocóż w takim razie *Czas* tak uroczyście pisze o „wyżynie", na którą ta rezolucya „wynosi Koło Polskie" i pocóż zapewnia, że „ma ona charakter nawskróś polityczny i to ją odróżnia od szeregu poprzednich", skoro jest ona prostem ich powtórzeniem.

Jedno tylko jest tam nowe. Mianowicie wzmianka o „ministrze dla Galicyi, namiestniku i marszałku, do których Koło odnosi się z zaufaniem". Jak wiadomo chodziło właściwie tylko o wyrażenie zaufania p. Namiestnikowi, wkręconemu tu między ministra i marszałka. Otóż to jest rzecz naprawdę nowa. Dotychczas bowiem Koło Polskie nigdy nie uchwalało zaufania namiestnikom, choć zwykle je miało, bo uważało, zupełnie zgodnie z naszemi urządzeniami politycznemi, że to do niego nie należy, wobec tego że namiestnik nie jest wcale odpowiedzialny przed Kołem Polskiem lecz przed Kołem Sejmowem, przynajmniej wedle naszych tradycyi politycznych. Dawne Koła Polskie umiały zatem szanować się i nie nadstawiały się z niczem co do nich nie należy.

Jako nowość zwróciło zatem to uchwalenie zaufania p. Namiestnikowi powszechną uwagę i bliższe rozpatrywanie, jak to się odbyło i dlaczego.

I oto ujrzano, że urządzono całą tę rzecz bardzo nieudolnie, z niespokojem i z wahaniami. Komisya parlamentarna, która miała ułożyć rezolucyę, naprzód chciała wyrazić to zaufanie, potem je skreśliła. Więc nie byłoby tego ustępu. Ale oto na pełnem Kole występuje p. Angerman i od siebie dodaje zaufanie, a wtedy większość Koła Polskiego uchwala je. Co za szczęście zatem dla p. Namiestnika, że znalazł się p. Angerman! Bez niego nie byłoby zaufania. W dodatku przy głosowaniu żądają rozdziału, wyciągają p. Namiestnika z pomiędzy p. Ministra i p. Marszałka, którymi go podparto, i wtedy zaufanie dla p. Marszałka i p. Ministra uchwalają jednogłośnie, a gdy przyszła kolej na p. Namiestnika część posłów z różnych grup opuszcza salę, część wstrzymuje się, część głosuje przeciw, tak że zaufanie dla p. Namiestnika uchwala tylko 40 głosów. A wobec tego uderza przedewszystkiem zestawienie: więc za ministrem i marszałkiem jednomyślnie, a za namiestnikiem nie? A zatem to nie chodzi o zwykłe różnice stronnicze, boć i marszałek i minister do wszystkich stronnictw nie należą, ale o coś innego.

A jak w Wiedniu musiano zrozumieć to pokłonienie się p. Namiestnikowi przez większość Koła? Wszak dawne Koła nigdy tego nie robiły, więc nie należy to ani do zwyczajów ani do potrzeb politycznych naszej delegacyi wiedeńskiej. I z pewnością cały parlament odpowiedział sobie: jest to podziękowanie trzech grup, które p. Namiestnik popierał przy ostatnich wyborach. Cokolwiek chcieli osiągnąć ci, którzy to tak obmyślili, osiągnęli z całą pewnością tylko to, że w Wiedniu wzmocniło się podejrzenie lub przekonanie, iż to jednak są nie tyle posłowie kraju ile posłowie p. Namiestnika.

Naprawdę, dla p. Namiestnika więcej przykrości niż uciechy, a dla Koła Polskiego więcej niezaszczytnych domysłów niż pożytku.

* * *

Tak wyglądają w rzeczywistości pierwsze kroki nowego Koła Polskiego.

Szerszej działalności własnej nie mogło ono jeszcze rozwinąć: zarówno w sprawie kanałów jak w sprawie bankowej opierało się narazie na zabiegach Koła poprzedniego.

Zaznaczyły się już niektóre objawy nie pomyślne. Przedewszystkiem wybór p. Bilińskiego, bez względu na znaną jego działalność w ostatnich czasach, na prezesa Koła Polskiego był przeciwny wszelkim zasadom życia parlamentarnego i nie odpowiadał powadze Koła, a świadczył tylko o wzroście wpływów p. Stapińskiego. Następnie przy wyborach komisyjnych, dokonanych na podstawie sprytnego nadużycia, uświęcono bardziej niż kiedykolwiek zasadę, że Koło jest zlepkiem kilku stronnictw. Wreszcie zbyteczne i dotąd niebywałe uchwalenie zaufania p. Namiestnikowi musiało w parlamencie podać w wątpliwość niezależność obecnego Koła Polskiego i rzucić cień na jego powagę, a zarazem wzbudzić w rządzie przekonanie, że z tem Kołem nie będzie miał zbytnich trudności, gdyż można je zawsze uśmierzyć za pośrednictwem p. Namiestnika, który ma tam jakieś szczególne wpływy a który, jako urzęd-

nik, nie jest w stosunkach z rządem tak swobodny jakby mogło być niezależne ciało poselskie.

Niedodatnie te objawy są tem przykszejsze, że i przeciwnicy sposobu, w jaki przeprowadzono ostatnie wybory, przyznawali, iż w nowem Kole Polskiem są pewne zmiany na korzyść, głównie w poważniejszym niż dawniej składzie grupy ludowców, co uprawniało do pewnych nadziei.

W każdym razie źle służą Kołu Polskiemu i tylko ośmieszyć je mogą ci zbyt gorliwi posłowie i dziennikarze, którzy opowiadają niestworzone rzeczy o dotychczasowych i przyszłych tryumfach Koła.

Bo w rzeczywistości, nawet jeśli wszystkie zdolności Koła zwrócą się w dobrym kierunku, czego bardzo pragnąć się musi, działać ono będzie w warunkach trudnych. Br. Gautsch, choćby był aniołem, nie wydrze z serca tej głębokiej urazy, jaką ma do nas za to, że Koło Polskie obaliło go w r. 1906, wydzierając mu sławę doprowadzenia do końca wielkiego dzieła reformy wyborczej. Nie mogły się też nagle zmienić te nieprzychylne dla nas uczucia, któremi br. Gautsch zawsze się odznaczał i które tak wybitnie wystąpiły właśnie przy reformie wyborczej. Możliwość a nawet prawdopodobieństwo, że rząd br. Gautscha będzie dla nas gorszy niż inne, jest tembardziej niepokojące, wobec tego że właśnie tymi czasy mają być rozstrzygane ważne sprawy ruskie. Wreszcie na wielkie tryumfy w obecnym parlamencie już dlatego nie można zbyt się rozpędzać, że wpływowe stronnictwo chrześcijańsko-społeczne nie chce się pogodzić z myślą, aby ten parlament, w którym niema jego głównych przewódców, miał trwać zbyt długo, dostosowuje już do tego swą taktykę, jak się okazało w rozprawie drożyźnianej, i z pewnością nic na to nie pomogą zabawnie groźne napomnienia w *Czasie* (nr. 331 z d. 24 lipca). Wszystko to razem nie stwarza dla Koła Polskiego warunków zbyt pomyślnych i trwałych.

Lepiej zatem będzie nie bałamucić kraju temi dziecinnemi i pełnemi dziwnej jakiejś próżności upojeniami, które sypią tryumf za tryumfem na papierze, podczas gdy w rzeczywistości ciężko trzeba będzie walczyć o nasze sprawy.

Po sprawie Rapperswilskiej.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy podniesiono przeciw zarządowi Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu zarzuty, przedstawiające w bardzo złem świetle zarówno gospodarstwo w muzeum jak i ludzi, którzy je sprawują. Z zarzutami tymi wystąpili bądź to w prasie bądź to w osobnej broszurze: pp. W. Karczewski b. bibliotekarz rapperswilski, W. Kłyszewski b. pomocnik bibliotekarza rap., dr. F. Kopera dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, dr. M. Sokolnicki historyk, St. Szpotański historyk, Z. Wasilewski redaktor Słowa Polskiego i b. bibliotekarz rapperswilski, St. Żeromski znany pisarz i b. bibliotekarz rapperswilski. Podniesione przez nich zarzuty obiegły znaczną część prasy, roznosząc po wszystkich naszych ziemiach bardzo złe wieści o sprawach i ludziach rapperswilskich.

Zbadanie tych zarzutów publicznych, jakoteż wszystkich innych przedstawionych następnie ustnie, poruczono na ostatnim zjeździe dorocznym w Rapperswilu komisyi, wybranej na posiedzeniu członków Rady i osób z poza Rady zaproszonych z różnych dzielnic polskich, a złożonej z pp.: St. Libickiego prezesa Kasy literackiej w Warszawie (przewodniczącego komisyi), dra A. Czołowskiego dyrektora archiwum miejskiego i Muzeum Narodowego Jana III. we Lwowie, dra T. Dwernickiego adwokata we Lwowie, dra Z. Laskowskiego profesora Uniwersytetu w Genewie, dra A. Sokołowskiego profesora i prezesa Koła artystyczno-literackiego w Krakowie, dra St. Strońskiego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dra L. Tarnawskiego adwokata w Przemyślu.

Po pięciu dniach pracy, po zbadaniu rzeczy na miejscu wraz ze stawiającymi zarzuty, którzy prawie wszyscy (z wyjątkiem jednego: p. Z. Wasilewskiego) stawili się na zjazd, gdyż badanie zarzutów było zapowiedziane publicznie, we wszystkich pismach na kilka tygodni przed zjazdem, komisya wydała obszerne orzeczenie, ogłoszone drukiem nasamprzód dla prasy a następnie także jako broszura. (Orzeczenie Komisyi w sprawie Muzeum Narodowego w Rapperswilu, Rapperswil 1911, Gebethner i Sp. Kraków).

Orzeczenie komisyi zajmuje się około 50-ma zarzutami i stwierdza, że niektóre są słuszne (wśród nich najważniejszy, podniesiony nie przez osoby oskarżające zarząd lecz dopiero przez członka komisyi dra Czołowskiego, dotyczy sprzedaży dubletów w sposób szkodliwy dla instytucyi, za co jednak odpowiedzialni są w pierwszym rzędzie bibliotekarze), inne bardzo przesadzone (te są bodaj najliczniejsze) lub całkiem niesłuszne (a tu należą zarzuty, które największe wrażenie wywoływały i w najgorszem świetle przedstawiały zarząd: co do niszczenia zbiorów, podstawiania falsyfikatów, niesprawiedliwego lub złośliwego obchodzenia się z urzędnikami).

Wyniki badań zamyka orzeczenie następującemi słowy:

„Jakkolwiek komisya w swojem orzeczeniu stwierdziła różne braki i usterki, jednak nie upoważniały one nikogo do ogólnego poniżania instytucyi narodowej i krzywdzenia ludzi nią zarządzających i to na podstawie zarzutów, z których wiele podniesiono lekkomyślnie bez należytego sprawdzenia, a o najcięższym (sprzedaży dubletów) nie wspomniano wcale. — Komisya kończy stwierdzeniem, że Muzeum Rapperswilskie przedstawia wartość bardzo znaczną, za co należy się wdzięczność tym, którzy je stworzyli i zarządzają niem, a braki, które ono ma, usunąć się dadzą przedewszystkiem jeżeli muzeum dozna lepszego niż dotychczas poparcia materyalnego i naukowego z kraju“.

Co do przyszłości zaś mówi orzeczenie:

„Co do przyszłości Muzeum i koniecznych reform, to ze względu na ważność przedmiotu, na brak możności wszechstronnego oświetlenia obecnie tej rzeczy oraz na konieczność zasięgnięcia opinii rzeczoznawców, komisya nie uważała za stosowne wyrażać obecnie jakichbądź dezyderatów. Uznaje jednak jednomyślnie ko-

nieczność reform i stwierdza, że przy całem, bezgranicznem, oddaniu się p. Rużyckiego sprawom Muzeum, nie może on być uważany za kierownika, odpowiadającego wymaganiom obecnym co do tego rodzaju instytucyi, należałoby więc, pozostawiając p. Rużyckiego jako konserwatora zabytków, poddać całe Muzeum pod zwierzchnictwo człowieka zupełnie fachowego i mogącego zapewnić odpowiedni rozwój naszemu Muzeum".

Obecnie trwają w dalszym ciągu napaści, ale teraz już i na zarząd muzeum i na komisyę. Jest w nich mnóstwo nieprawdy. Kto może powinien na to zwrócić uwagę. Zadania moje jako członka komisyi są skończone, ale, zapoznawszy się ze sprawą rapperswilską, mogę podać pewne wyjaśnienia.

———

Nasamprzód dobrze będzie odpowiedzieć na pytanie: z jakich p o w o d ó w, a nawet z jakich p o b u d e k, mogła wybuchnąć tak gwałtowna walka o Rapperswil.

Przeznaczenie Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu wyobrażać sobie można bardzo rozmaicie. W jednem pojęciu cel mógłby być bardzo wielki: muzeum rapperswilskie ma być obrazem Polski i jej kultury. I oto rzeczywiście krótki akt fundacyjny spisany w chwili otwarcia muzeum d. 23. października 1870 głosi, że muzeum „będąc obrazem Polski pod względem historycznym, naukowym, literackim i artystycznym, odda znakomitą przysługę sprawie polskiej". W innem pojęciu cel będzie szczuplejszy: muzeum, dalekie od tego, by mogło być obrazem Polski, zbiera w zakresie możności pamiątki polskie. I oto we właściwym, prawnym, akcie fundacyjnym hr. Władysława Platera z d. 8. kwietnia 1881 czytamy, że jest to „muzeum założone w celu zbierania i przechowywania polskich pamiątek historycznych".

Zmiana, którą sam założyciel wprowadził po latach dziesięciu w określeniu celu muzeum, odrazu stawia rzecz jasno. Hr. Plater widział poprostu to co widzi i musi uznać każdy człowiek rozsądny: stworzyć zagranicą, daleko, muzeum, któreby mogło dać obraz kultury polskiej, to rzecz nieprawdopodobna, niewykonalna. Nawet gdyby miało ono wielkie środki pieniężne, byłoby o to trudno, bo i twórcy i ofiarodawcy wolą, aby zbiory takie tworzyły się na własnej ziemi i aby były dostępne dla swoich a nie dla obcych. A cóż dopiero gdy to jest muzeum ubogie, które końca z końcem związać nie może, tak że kapitał t. zw. żelazny spadł w latach 1905—1910 z 44.927 fr. na 19.161 fr., służąc na pokrycie wydatków bieżących. Więc wyobrażać sobie i żądać, by to muzeum dawało obraz kultury polskiej to już nie tylko marzenie, lecz wręcz dziecińܣtwo. Może ono tylko, znacznie skromniej, zbierać pamiątki polskie.

A dalej, być może, iż i to jeszcze określenie: zbieranie pamiątek polskich, zakreśla temu muzeum zadania zbyt szerokie i niebezpieczne. Bo ostatecznie, gdy będą się tam znajdowały przedmioty z najróżniejszych czasów i działów twórczości, to cudzoziemiec, nie znający pozatem żadnych zbiorów polskich i wogóle niewiele wiedzący o naszym kraju, może sobie pomyśleć czy się chce czy nie, że to jest obraz kultury polskiej. Kto wie zatem, czy przeznaczenia muzeum, a przynajmniej jego jądra, nie trzeba będzie określić jeszcze o wiele ściślej. Może będzie ono dawało tylko, jak mówi orzeczenie komisyi, „systematyczny obraz naszych dziejów porozbiorowych we wszystkich ich okresach", a więc pamiątki walk narodowych i dokumenty ucisku narodowego na wszech ziemiach polskich. Takie muzeum polskie dla świata, dla obcych właśnie, odda naprawdę „znakomitą przysługę sprawie polskiej".

Jakże zatem określali przeznaczenie jego ci, którzy wystąpili obecnie z oskarżeniami? Otóż właśnie jak najszerzej. Mówili sobie i mówili innym, że ma ono dawać obraz Polski i jej kultury. Głosili to w swych oskarżeniach bez ustanku. P. Wasilewski pisze: „Po 41 latach istnienia zakładu i domniemanego rozwoju (rzecz popisowa na obczyźnie) zaglądamy tam z pietyzmem dla narodu, żeby się pouczyć, jak stoi jego dzieło cywilizacyi, i oto co zastajemy"... (*Sł. P.* nr. 412). P. Kopera pisał: „Turysta, który zwiedza zamek w Rapperswilu, myśli, że muzeum to jest odbiciem kultury kraju; a tak nie jest; świetna sztuka współczesna niemal, że nie jest reprezentowana; z dawnej sztuki widzi się *disiecta membra*..." (brosz. str. 24). A tymczasem chwila zastanowienia się wystarcza, aby zrozumieć, że to muzeum nie mogło dać obrazu „świetnej sztuki wspólnej" albo wogóle „dzieła cywilizacyi narodu". Ta chwila zastanowienia i ta dobra wola w przyznaniu, co jest możliwe a co nie, była stanowczo potrzebna, zanim zaczęło się wojować temi wielkiemi słowami o przeznaczeniu muzeum, które miały podniecić nastrój oburzenia w kraju.

Obecnie zjawia się zresztą i ze strony tych, którzy stawiali zarzuty, inne określenie celu muzeum. Mianowicie założone przez nich w czasie ostatniego zjazdu Towarzystwo przyjaciół Muzeum rapperswilskiego oparło swe założenie na krótkim akcie, który, powołując się na Platera i Bukowskiego, założyciela i pierwszego kierownika muzeum, zapowiada dążenie do „nadania Muzeum rapperswilskiemu charakteru, odpowiadającego intencyi założycielskiej i potrzebie ogólno-narodowej: Muzeum polskich walk o wolność". Mieści się tu zatem twierdzenie i zarzut, że tak chcieli założyciele, a dopiero zarząd obecny odbiegł od ich woli. Ale to jest nieprawda. Przytoczone wyżej słowa aktu fundacyjnego świadczą, że założyciele pragnęli zbierać wogóle pamiątki polskie. I potwierdzali to czynami: fajka z tradycyami Batorego, ofiarowana przez Platera, pudełko rzekomo Wita Stwosza, ofiarowane przez Bukowskiego i tyle innych ich darów, nie ma nic wspólnego z polskiemi walkami o wolność.

Pierwszą zatem pobudką niezadowolenia mogło być to, że, jeśli sobie ktoś powiedział, iż muzeum rapperswilskie ma być obrazem kultury polskiej dla cudzoziemców, widział z przykrością, że do tego mu daleko. Pobudka szlachetna i zrozumiała, ale nie miarkowana spokojnem zastanowieniem się, czem muzeum to może być naprawdę.

Była jeszcze i inna przyczyna niezadowolenia.

Jakkolwiek się pojmie i określi przeznaczenie muzeum, są w niem usterki, często rażące,

wobec dzisiejszych wymagań naukowych. Złożyły się na to różne czynniki. Nasamprzód, to że wogóle trudno było uporządkować systematycznie zbiory powstające przeważnie z przypadkowych darów emigracyi. Następnie to, że kustosz, człowiek starej daty, wiedzy muzealnej nabywał w życiu, jako zbieracz dzieł sztuki, a nie w zakładach naukowych. Wreszcie zaś ciągle to samo: na stałe kierownictwo naukowe i postawienie muzeum na wyżynie naukowej nie było środków. Dość, że usterki są, rażą i musiały wywołać chęć zmian.

Takie zatem, rzeczowe, przyczyny i pobudki mogły wywołać podniesienie zarzutów w sprawie muzeum rapperswilskiego.

Z kolei przyjrzeć się trzeba w jaki s p o s ó b i w jakim n a s t r o j u zarzuty te podnoszono.

Dziwnie lekkomyślnie.

Zarzuty wzmacniano przesadą. Przykładem mogą być zarzuty p. St. Żeromskiego. Opierają się one na wspomnieniach z przed lat piętnastu. Na dnie każdego z nich jest jakieś zdarzenie rzeczywiste, które jednak w przedstawieniu obecnem urasta bez miary. — Znany jest zarzut co do elzewirów: „Pan kustosz muzeum strzelał z pistoletu do celu, a za cel używał małych elzewirów w białą skórę oprawnych; egzemplarze poprzestrzelane można znaleźć w bibliotece i wystawione widzieć w witrynach". O ileż słabiej brzmiałby ten zarzut, gdyby p. Żeromski pisał ściśle tylko to co wiedział: p. Wasilewski opowiadał p. Żeromskiemu, że kustorz przechwalał się celnością strzałów, pokazując książkę (jedną książkę) przedziurawioną (kustosz także wobec komisyi, zapewniając, że do żadnej książki nie strzelał, dodawał jednak, że strzela tak, iż w każdą książkę by trafił). — Albo księga sztychów Oleszczyńskiego: „Znaleźliśmy ją (z pp. Wasilewskim i Domagalskim) na strychu w stanie okropnym: była przygnieciona pakami z lakierem i smarami w taki sposób, że rozpłaszczyła się w poprzek i raz na zawsze przełamała, a w głąb jej prześlicznych kart brystolowych, wypieszczonych przez artystę, lała się kaskada zastygłego lakieru czy smarowidła p. kustosza; oczyściliśmy i rozprostowali ten zbiór Oleszczyńskiego, o ile się dało, ale nie wiele można było zrobić". Nie było w Polsce człowieka wykształconego, któryby, czytając to, nie chwytał się za głowę z oburzenia. Okazało się, że księga istnieje w znakomitym stanie, że niema na niej żadnego przełamania, choćby najmniejszego, żadnego śladu plamy, choćby jednej kropli, a tylko brakuje kartki tytułowej i jednej lub dwu następnych, które mogły być uszkodzone, w dodatku zaś p. Żeromski sam na strychu wcale nie był i książki pod owemi pakami nie widział. — Taksamo ów przerażający wręcz opis, jak to nieoceniony zbiór wycinków Chodźki, do którego zniszczenia kustosz stale i nieustannie dążył, wreszcie, wyrzucany łopatami z trzeciego piętra, spada strzępiastą masą w błoto, i już tylko jako istna mierzwa, znowu łopatami wrzucony do drwalni z dziurawym dachem, przepada. Okazało się, że wycinki Chodźki i inne papiery po nim, które p. Żeromski uznał obecnie za podobne do druków ze strychu, istnieją do dzisiaj, a sprawa przedstawia się tak: zbiór gazet ze strychu, w którym p. Żeromski widział i wycinki Chodźki, wyniesiony tam przez kustosza na własnych plecach, został następnie usunięty z polecenia architekta dla względów bezpieczeństwa, w ten sposób, że spuszczono je w koszach na dziedziniec pokryty żwirem i wogóle dla błota niepodatny, poczem część owych druków, po wyborze, umieszczono w drewutni, a co się stało z wycinkami, tego p. Żeromski wiedzieć nie mógł, bo wyjechał wtedy zaraz z Rapperswilu, o niczem się nie przekonawszy. — Tak więc, z pominięciem ścisłej zgody z rzeczywistością, rosła doniosłość zarzutów i wyrazistość opisów.

We wszystkiem co Zarząd robił dopatrywano się pobudek jak najgorszych. Tak n. p. znana sprawa „prezes-dyrektor". Komisya orzekła: „Słuszniejszym wydaje się Komisyi zarzut (p. Karczewskiego), że stanowisko prezesa Rady i dyrektora Muzeum jest złączone w jednej osobie, gdyż prezes Rady powinien właściwie wraz z całą Radą kontrolować czynności dyrektora Muzeum". Dlaczego tak jest w Rapperswilu? Poprostu niema pieniędzy na płatnego dyrektora. Musiałby nim być chyba kustosz, który w takim razie byłby naczelnym kierownikiem całej administracyi. Wobec tego statut z r. 1894 postanowił, że dyrektorem (bezpłatnym) będzie prezes Rady, wybierany co trzy lata. Z tego zrobiono znaną „chciwość władzy".

Podejrzeń najczarniejszych nie wahano się rzucać. W czasie zjazdu p. Kłyszewski wskazał, że w katalogu pewnego antykwarza w Monachium ogłoszony był stary druk polski ze wzmianką na końcu tej pozycyi katalogu: W. Rużycki Rapperswil. List antykwarza wyjaśnił komisyi o co chodziło. Zna on p. Rużyckiego od lat czterdziestu, jeszcze z czasów długiego pobytu jego w Monachium, i gdy ma jakąś książkę polską większej wartości, zwraca się do niego bądźto o objaśnienie bądźto z ofertą. Zapisał zatem na kartce tytułowej nazwisko i adres p. Rużyckiego jako notatkę dla siebie, a pomocnik księgarski, który sporządzał katalog, wpisał to do katalogu. P. Kłyszewski odstąpił tedy natychmiast od zarzutu i nie zajmowaliśmy się wogóle tą sprawą w orzeczeniu. Ale w dwa dni później, gdy nadeszły pisma krajowe, przekonałem się, że i to straszne posądzenie kustosza o potajemne sprzedawanie książek rapperswilskich, przed badaniem w komisyi poszło w lot do dzienników jako rzecz stwierdzona.

Zaczęto wreszcie grozić kryminałem. Zauważono mianowicie w czasie zjazdu, że w pozycyi inwentarza odnoszącej się do pewnej miniatury Chodowieckiego, kustosz zamiast nazwiska ofiarodawcy pierwotnie tam podanego wpisał swoje. Udali się oskarżyciele zarządu do adwokata szwajcarskiego, przedstawili mu to oszustwo i nadużycie urzędnika i wrócili z radosną wieścią: kryminał. Okazało się następnie w komisyi, że kustosz poprostu poprawił błąd, bo miniatura była jego darem, a uczynił to całkiem otwarcie, tak że oba nazwiska są do dziś widoczne, bez najmniejszego „podskrobania", o którem mówili oskarżyciele i o którem jeszcze teraz mówią, kpiąc z prawdy przy nich

stwierdzonej, bo „podskrobanie“ brzmi mocniej. Zanim jednak komisya rzecz zbadała, chętnie podawana wiadomość o kryminale rozeszła się wśród uczestników zjazdu i doszła do pism.

Lecz i w weselszy sposób objawiała się ta gonitwa za niegodziwościami kustosza. P. Kłyszewski wystąpił z następującym zarzutem. W czasie gdy był on w bibliotece przyszedł pewnego razu w porze poobiednej do muzeum p. Maurice Muret, współpracownik *Journal des Débats*, znany nasz przyjaciel paryski. Trzeba go oprowadzić, p. Kłyszewski szuka kustosza w jego pokoju, ale tam go niema, sam nie może oprowadzać, lecz właśnie była na szczęście jakaś pani, umiejąca dobrze po francusku, więc ona się zaofiarowała i już miała zacząć oprowadzać, gdy wreszcie zjawił się kustosz. Jak długo mogło to trwać? Pięć, dziesięć minut? Komisya stała zatem wobec zagadnienia: gdzie wtedy był i co robił p. kustosz? Komisya powstrzymała się od badania.

O ile zatem zasadniczą pobudką podniesienia sprawy rapperswilskiej było dążenie do ulepszeń rzeczywiście pożądanych, o tyle w sposobie stawiania zarzutów objawiła się wielka nierozwaga i lekkomyślność: w wielu zarzutach, i to zwykle najpoważniejszych, przesada robiąca naprawdę z igły widły, niczem nie miarkowana łatwość rzucania najcięższych a kruchych podejrzeń, zaciekłość dochodząca aż do śmieszności, a wszystko podawane publicznie, z jak największym rozgłosem, bez względu na krzywdę ludzką.

Komisya, badając te zarzuty, nie mogła więc w przeważnej ilości wypadków, powiedzieć: jest rzeczywiście tak jak mówią oskarżyciele zarządu.

Obecnie uderzyli zatem dawni oskarżyciele zarządu muzeum także i na k o m i s y ę i jej o r z e c z e n i e.

Zdawałoby się, że gdy się chciało mówić o orzeczeniu komisyi, pierwszą rzeczą było: podać p r a w d z i w i e j e g o t r e ś ć.

Otóż tu stwierdzić trzeba nasamprzód, iż ze strony stawiających zarzuty podawano orzeczenie z przekręceniami urągającemi wszelkiej prawdomówności, oczywiście zawsze na korzyść stawiających zarzuty.

W *Słowie Polskiem* (w dwu nrach:: 386 i 390) podane zostało takie właśnie „streszczenie“ orzeczenia komisyi. Z pośród mnóstwa przykładów, bo całe to sprawozdanie jest w takim duchu skreślone, podaję niektóre.

Zacznijmy od drobnostki. Streszczenie *Sł. Polsk.*: „W pismach szwajcarskich podobno zwracano uwagę na niechlujstwo, rozwielmożnione w muzeum rapperswilskiem; komisya przekonać się o tem nie mogła, ponieważ pism tych w ręku nie miała“. Co pomyśli czytelnik: komisya spychała zarzuty? Otóż jest to streszczenie następującego zdania w orzeczeniu: „Gdy jednak ani tej notatki nie przedłożono, ani nie umiano podać do wiadomości dokładnej jej treści, ani nawet tytułu gazety, która ją zamieściła, badaniem tego zarzutu (p. Sokolnickiego) komisya zająć się nie mogła“.

Orzeczenie komisyi mówi (III, 1): „P. Kłyszewski pisał, że przed trzema laty pomocnik kustosza p. K. B. wykrył, iż portyer dopuszcza się nadużyć, ale „wyrokiem Rady usunięty został nie portyer-złodziej lecz urzędnik który go wykrył; według interpretacyi owego niesłychanego wyroku B. zawinił, że wtrąca się w nieswoje rzeczy, że pogwałcił biurokratycznie w hierarchii urzędniczej stosowaną przez Dyrektora-Prezesa zasadę subordynacyi“. Z wyjaśnień pp. prezesa Rady i kustosza wynika, że jakkolwiek fakt malwersacyi poprzedniego portyera nie został w sposób pozytywny udowodniony (a i ze strony stawiającej zarzut dowodów pozytywnych nie wskazano), jednak już z powodu podniesionych podejrzeń został on zwolniony ze służby w Muzeum. Dymisya zaś p. B. (nawiasem mówiąc, bliskiego krewnego p. kustosza) nastąpiła z przyczyn nie pozostających w żadnym związku z jego doniesieniem o nadużyciach portyera“. — Streszczenie *Sł. Pols.* brzmi: „Zwracano uwagę komisyi na szereg usterek administracyjnych, które zilustrować miały fatalny system rządów delegacyi paryskiej i wykazać konieczność zmiany tych rządów na kierunek mniej demokratyczny; między innemi wspomniano o sprawie dawniejszego portyera; komisya wyraziła zdanie, że sprawy tej stwierdzić nie mogła, faktem natomiast jest, że portyera tego oddalono“. Zniknął zatem pokrzywdzony urzędnik, zniknęła hierarchiczna niesprawiedliwość dyrektora-prezesa, zniknął wszelki ślad zupełnej a tak śmiało podanej nieprawdy zarzutu, który był jedynym dowodem owego „biurokratyzmu rapperswilskiego“.

Orzeczenie komisyi (VI, 1): „W sprawie zarzutu p. Żeromskiego i innych, że kustosz własne wyroby podaje za zabytki historyczne, stwierdzono, że jeżeli kustosz z różnych starych części złoży lub z surowych materyałów wykona jakiś przedmiot, nie podaje go za zabytek autentyczny, lecz umieszcza napis „zrobił i darował W. R. de R.“ albo „robota polska“. Zarzut falsyfikowania jest przeto nieuzasadniony. Przedmioty te do muzeum w ścisłem słowa znaczeniu zupełnie się nie nadają, a w Rapperswilu znajdują się jedynie z tego tytułu, że przyjmowano tam zawsze pamiątki po emigrantach, które jednak przy porządkowaniu muzeum umieścić należy osobno“. — Streszczenie całego tego ustępu brzmi w *Sł. Pols.* krótko: „Komisya przyznała, że wyroby p. kustosza nie nadają się do muzeum; należałoby je umieścić w oddzielnym pokoju“. I znowu ani słowa o głównej sprawie, mianowicie o zupełnej niesprawiedliwości zarzutu falsyfikowania, za co kustosza poniewierano po tylu pismach, natrząsających się z „fabryki Van-Dycków“.

Z niezrównaną obrotnością przemyka się streszczenie *Sł. Pols.* około faktu, że p. Żeromski pisał publicznie o strzelaniu do wielu elzewirów, a przed komisyą okazało się, że chodzi o jedną książkę i że p. Żeromski, jak nikt wogóle, nie widział sam nigdy, żeby kustosz strzelał do książki. Streszczenie *Sł. Pols.* brzmi: „Co do elzewirów skonstatowano przedewszystkiem, że Żeromski mówił o strzelaniu do jednego elzewiru, a nie do kilku; Żeromski swój zarzut podtrzymywał, kustosz się wypierał...“

Orzeczenie komisyi (IV): „Komisya stwierdziła, a to na podstawie zeznań samych biblio-

tekarzy, pp. Karczewskiego i Kłyszewskiego, że p. kustosz Rużycki do spraw bibliotecznych zupełnie, w całem tego słowa znaczeniu, się nie mieszał a w tych rzadkich sprawach (sprzedaż dubletów), w których na podstawie regulaminu nakazane jest współdziałanie bibliotekarza z kustoszem, ze zdaniem ich się liczył“. — Streszczenie *Sł. Pols.*: „Na podstawie twierdzeń kustosza doszła komisya do przeświadczenia, że kustosz nie mieszał się zupełnie do biblioteki, lecz tam, gdzie była ku temu potrzeba, liczył się z ich opinią“. Tak więc słowa „na podstawie zeznań samych bibliotekarzy“ zastąpiono przez „na podstawie twierdzeń kustosza“ (i wskutek tego w dalszem ciągu zostało owo „ich“ bez oparcia).

Orzeczenie komisyi (IX): „Sprzedaż dubletów odbywała się w sposób następujący; bibliotekarz oznaczał co jest dubletem i porozumiewał się z kustoszem co do ceny sprzedaży; cenę tę ostatecznie oznaczał kustosz, który jednak w tej mierze, nie mając co do książek i druków wiadomości fachowych, polegał zazwyczaj na opinii pp. bibliotekarzy; okoliczność ostatnią potwierdzili zgodnie pp. Kłyszewski i Karczewski (bibliotekarze w owym czasie).“ — Streszczenie *Sł. Pols.*: „Sprzedawać wolno było dublety tylko kustoszowi, bibliotekarze nigdy się do tego nie wtrącali i wtrącać się im w to nie było wolno“.

Tak wygląda „streszczenie“ orzeczenia w *Słowie Polskiem*. Są to tylko nieliczne przykłady, bo w rzeczywistości całe to sprawozdanie jest w ten sposób zbudowane.

W kilka dni potem ogłosił redaktor *Słowa Polskiego* p. Z. Wasilewski w piśmie swem jeszcze trzy artykuły w sprawie rapperswilskiej, z których jeden nosił napis: „Rola prasy“ i oskarżał inne pisma, że to one niedokładnie podawały orzeczenie komisyi na niekorzyść stawiających zarzuty: „Orzeczenie komisyi obywatelskiej powinno wywrzeć pewien dodatni wpływ na dalsze losy Muzeum; gdyby opinia w kraju mogła bezstronnie wsłuchać się w jego brzmienie...“. Tak pisze p. Wasilewski po owem „streszczeniu“ *Słowa Polskiego*. Trzeba umieć być śmiałym.

W podobny sposób „streszczano“ orzeczenie komisyi w innych sprawozdaniach, podawanych przez oskarżycieli zarządu muzeum: p. Kłyszewski pisze dalej w *Kuryerze Porannym* o „podskrobaniu“ przez kustosza nazwiska ofiarodawcy w inwentarzu, p. Szpotański na wiecu w Zakopanem dalej mówił (wedle sprawozdania w *Naprzodzie*), że kustosz pozaginał i podziurawił czworokątny gobelin, aby go wtłoczyć w owalną ramę, chociaż stwierdzono, że wcale tego nie zrobił kustosz, lecz obraz tak ofiarowano i t. d.

Zły to znak dla stawiających zarzuty, że, napadając obecnie na komisyę, czują, iż nie mogą orzeczenia jej podać prawdziwie i przekręcają je.

P. Wasilewski zamknął niedawno swe uwagi o sprawie rapperswilskiej pełnem jak zwykle etyki zdaniem: „Coraz częściej przychodzę do przekonania, że u nas ludzie uczciwi za wiele robią sobie ceremonii ze względami ubocznymi, gdy zależy na powiedzeniu prawdy“ (*Sł. Pols.* nr. 412). A ja dochodzę do przekonania, że u nas ludzie za mało sobie robią ceremonii z prawdą, gdy zależy im na względach ubocznych, n. p. na zakryciu niesprawiedliwości własnych napaści.

———

Wśród zarzutów, rozpowszechnianych obecnie przeciw komisyi, pierwszy zaraz dotyczy jej składu: zarówno sposobu w jaki została powołana jakoteż zdolności jej członków do powierzonej im pracy oraz ich... uczciwości.

Nasamprzód tedy zgodnym chórem głoszą oskarżyciele, że była to „komisya jednostronna, przez Radę wybrana, od Rady zależna“ jak pisze np. p. Sokolnicki w *Życiu*.

Gdyby przeciw zarządowi jakiejkolwiek instytucyi obywatelskiej w kraju naszym (i każdym) podniesiono zarzuty takie jak w tym wypadku, władze zwierzchnicze tej instytucyi zbadałyby sprawę same, bez odwoływania się do kogokolwiek. Więc i tutaj Rada Muzeum, zbierająca się dorocznie i stanowiąca naczelną władzę instytucyi, mogła sama zarzuty zbadać i dać odpowiedź. I nawet powszechnie sądzono, że tak się stanie, oraz uważano to za wystarczające, gdyż w skład Rady Muzeum wchodzą ludzie powszechnie znani i szanowani. W maju b. r. odbyło się w Krakowie, w auli uniwersyteckiej, zebranie, urządzone przez p. Szpotańskiego, a złożone z przedstawicieli nauki i literatury i na zebraniu tem znaczną większością uchwalono zwrócić się do Rady z wezwaniem, by sama zarzuty zbadała i dała wyjaśnienie.

Rada Muzeum postanowiła jednak powierzyć badanie zarzutów ludziom z poza swego grona. Zaprosiła około dwudziestu osób z kraju część z nich przybyła, i na posiedzeniu wspólnem wybrano komisyę. W skład komisyi weszło 5 osób zaproszonych (pp. Libicki, Czołowski, Dwernicki, Sokołowski, Stroński) i dwóch członków Rady (pp. Laskowski i Tarnawski). We wszystkich napadach na komisyę wytykają oskarżyciele obecność członków Rady w jej składzie, ale zamilczają zupełnie to co orzeczenie stwierdza na końcu: „Orzeczenie niniejsze opracowane zostało bez udziału dwu członków Rady Muzealnej, zasiadających w komisyi“. Wytyka się jednostronność komisyi a nie dodaje się, że uchwaliła ona, iż przy wszystkich jej przesłuchaniach i badaniach będą obecni trzej z pośród stawiających zarzuty. Pięknie opisuje p. Kłyszewski jakto w komisyi „zasiadał oskarżyciel, który co chwila togę sędziego na purpurę prokuratora zamieniał; teraz, ogłaszał dr. Czołowski, przestaję być sędzią, a będę oskarżycielem, za chwilę znów się zwykłym stawał sędzią i wyrok pisał z własnego oskarżenia“. Pięknie ale nieprawdziwie, bo właśnie wprost przeciwnie p. Czołowski wyroku nie pisał z własnego oskarżenia w sprawie dubletów, o którą chodzi (w tej tylko sprawie, a „co chwila“ jest ozdobą wzmacniającą), lecz jak podaje orzeczenie „na wstępie badań w tej sprawie oświadczył p. Czołowski, że jako czyniący zarzuty nie będzie brał udziału w wydawaniu opinii co do niej, co komisya przyjęła do wiadomości i tak też się stało“.

Następnie głosi się, że komisya nie składała się z ludzi zawodowych i znających się na rzeczach, które badała.

Wolne żarty! Cóż to za znawcy stawiali te zarzuty z zakresu jakiejś tajemniczej i niedostępnej umiejętności lub zgoła magii? Były to rzeczy proste, głoszone bez trudności szerokim kołom czytelników pism codziennych. Każdy człowiek wykształcony mógł zająć się zbadaniem ich. Więc gdy zaczęto mówić o tym niezawodowym składzie komisyi, zauważył p. Donimirski, redaktor warszawskiego *Słowa:* „Ale tu też przeważnie nie chodziło o sprawy fachowe, lecz o takie, które każdy człowiek uczciwy osądzić może“ (nr. 225).

Zarzuty dotyczyły bardzo prostych spraw muzealnych, bibliotecznych, prawnych i administracyjnych. Czy naprawdę były one tak obce członkom komisyi? W skład jej wchodzili prócz dwu członków Rady, p. Laskowskiego profesora Uniwersytetu i p. Tarnawskiego prawnika, pp.: Libicki, prezes Kasy literackiej w Warszawie, a przytem prawnik, który był przewodniczącym komisyi wręcz niezrównanym; dr. Czołowski, dyrektor archiwum i muzeum; dr. Dwernicki, prawnik, biorący bardzo żywy udział w ruchu umysłowym i zajmujący się od wielu lat wszelkiemi sprawami tego rodzaju w Radzie miejskiej lwowskiej; dr. Sokołowski, znakomity znawca historyi porozbiorowej, z którą w Rapperswilu ma się ciągle do czynienia: ja staram się pracować w zakresie nauk historyczno-literackich. Byli zatem w tej komisyi ludzie, którzy i z muzeami i z bibliotekami i z administracyą i z prawem ciągle mają do czynienia i którzy z pewnością w pracach swoich spotykali się już z zagadnieniami trudniejszemi niż te, które im przedstawiono w Rapperswilu.

Znam jeden tylko uchwytny zarzut (poza ogólnikowemi narzekaniami na niefachowość) co do braku wiadomości fachowych w komisyi. Mianowicie powiedziała ona w swem orzeczeniu (II, 5): „Zarzut p. Sokolnickiego o wadliwem opalaniu muzeum odnosi się do złego funkcyonowania kaloryferów, skutkiem czego temperatura była nierównomierna, co jak wiadomo często się zdarza przy ogrzewaniu kaloryferami dawnego systemu. Czy warunki gmachu i względy finansowe pozwolą na usunięcie niedogodności, usuwa się z pod oceny komisyi“. Otóż znane nam już streszczenie *Słowa Polskiego* brzmi: „System opalania uznano za błędny; z powodu braku specyalisty wśród członków komisyi nie umiano wszakże odpowiedzieć, czy system ten da się ulepszyć (wezwanie specyalisty z Zurychu, lub Rapperswilu nawet, ułatwiłoby komisyi danie odpowiedzi na to pytanie)“.

Aby jakoś zatrzeć złe mniemanie o komisyi z powodu tych przeklętych kaloryferów, opowiem coś wesołego również z zakresu fachowości. P. Kłyszewski uzasadniał przed komisyą swój zarzut, że „w muzeum murzyńskie figurki zwano biustami Sokratesa i Diogenesa“. Prezes komisyi pyta: „A kogoż przedstawiają te figurki?“ „Mniejsza o to (odpowiada p. Kłyszewski), ale w każdym razie są to figurki przedstawiające murzynów więc nie mogą być postaciami greckiemi“. Na to wstaje nagle p. Laskowski, profesor anatomii: „Otóż ja jako anatom mogę Pana zapewnić, że te figurki wcale nie mają typu murzyńskiego“. „W takim razie przepraszam...“ skończył p. Kłyszewski sprawę tego zarzutu (a kustosz wyjaśnił, że jedną z tych figurek ofiarowano jako Ezopa, słynnego jak wiadomo z brzydoty, z czego powoli wyrósł Sokrates i Diogenes). Tak więc, dzięki fachowości, raz przynajmniej mieliśmy wesołą chwilę.

Śmielszy jest zarzut, podający w wątpliwość b e z s t r o n n o ś ć komisyi.

Tutaj jako wskazówkę uchwytną podaje się jedno tylko: udział Lwowian, którzyby chcieli, aby biblioteka rapperswilska przeniesiona była do Lwowa. Wojują tem wszyscy i np. p. Wasilewski pisze: „Udział w zjeździe tegorocznym pp. Rutowskiego i Czołowskiego odbił się jak najszkodliwiej na całości sprawy, bo ją zamącił przymieszką interesu obcego, sprzecznego z interesem Muzeum“ (*Sł. Pols.* nr. 412). Wskazuje się tedy, że ten „interes“ wpływał źle na bezstronność członków komisyi p. Czołowskiego jako „podwładnego p. Rutowskiego“ i p. Dwernickiego jako „radnego miasta Lwowa“. Otóż komisya orzekła, że wprowadzenie do statutu w r. 1894 prawa przeniesienia muzeum... sprzeciwiało się aktom nadawczym i orzekła to... jednomyślnie. Czy wystarczy?

Poza tą wskazówką uchwytną, która tak druzgocąco zwraca się przeciw samym napastnikom, są już tylko proste obelgi i oszczerstwa.

Więc p. Kłyszewski pisze sobie (w *Kuryerze Porannym*) z największym spokojem o pracy komisyi, że jest tam „wielce przebiegła kazuistyka“, że „przeinaczono świadczenia“, że praca komisyi to „trud całonocny przekręcanych twierdzeń“, czyli robi z nas wszystkich, członków komisyi, oszustów.

P. Sokolnicki powiada (w *Życiu*), że daliśmy się wybrać na „drodze ślizkiej“, że był to „osobliwszy sąd z samych, z małym wyjątkiem, naszych przyjaciół“ i że komisya „rządząc się łatwo w przyjaźni wyrozumiałą rzeczą postanowiła oszczędzać ludzi, aby zdławić rzecz“.

P. Wasilewski w *Słowie Polskiem* zapewnia, że do prac naszych „przypłątało się“ ni mniej ni więcej tylko „pochlebstwo przechodzące w gorliwość usłużności“. Ponieważ jednak p. Wasilewski ma wśród członków komisyi znajomych, na których mu zależy, p. Libickiego i p. Tarnawskiego, więc radzi sobie bardzo prosto: „P. Libicki, jak to widać ze składu komisyi, miał bardzo trudne zadanie, gdy chodziło o wypowiedzenie czegoś szczerego, zwłaszcza, że dwaj uczestnicy, jako członkowie Rady, byli neutralni w sądzeniu“. W ten sposób wyłącza p. Wasilewski zgrabnem zdaniem p. Libickiego i p. Tarnawskiego jako członka Rady (co zresztą w innych miejscach tegoż *Słowa Polskiego* bywa argumentem przeciw komisyi) i odsądza już swobodnie innych członków komisyi (z którymi zresztą tamci dwaj podpisali orzeczenie jednomyślnie uchwalone) od uczciwości w sądzeniu. Nie spodziewa się tylko p. Wasilewski, że p. Libicki i p. Tarnawski przyjmą tę szczególną łaskawość i grzeczność tak jak one zasługują: ze szczerym niesmakiem.

Dość że z tą niezrównaną łatwością, z którą ci panowie osądzają ludzi, zrobiono także i z siedmiu członków komisyi z dnia na dzień nieuczciwych krętaczy.

Jako rzecz już najmniejszej nie ulegającą wątpliwości, jako pewne minimum zarzutów przeciw komisyi podnosi się, że starała się ona wszelkiemi siłami łagodzić winy lub błędy zarządu Muzeum, że, jak mówi p. Wasilewski, w orzeczeniu komisyi „sztukę oględności w formułowaniu zarzutów doprowadzono do przesady", że komisya patrzyła „przez szkła" i wogóle o tych „szkłach" i „pryzmatach" mówi się ciągle.

Otóż to jest znowu nieprawda. Komisya wszędzie, gdzie było co do wytknięcia, powiedziała to bez obsłonek. Nie przepuściła Radzie żadnego, najbardziej nawet błahego zarzutu, tak dalece, że mógł jej ktoś zarzucić, iż zajmuje się i niepokoi opinię publiczną drobnostkami i właśnie z tego powodu na końcu orzeczenia znajduje się uwaga: „Nadmienia przytem komisya, że poczytywała za swój obowiązek nie pominąć żadnego zarzutu, chociaż był błahy lub dawno przebrzmiały".

I właśnie dlatego, że komisya jasno i otwarcie wytknęła wszystkie błędy i usterki, które naprawdę istnieją, ci sami oskarżyciele powołują się dzisiaj na orzeczenie komisyi, czerpią zeń, i nawet piszą o swojem „zwycięstwie".

Radzą sobie bardzo poprostu, powtarzarzając, że... nawet taka komisya musiała... Odwieczny sposób.

Pisze zatem p. Kłyszewski, że „taka bowiem nawet, metodą rapperswilską wybrana komisya zmuszona była stwierdzić... i t. d.". Pisze p. Wasilewski, że „pomimo szkieł, przez które komisyi badać wypadło sprawę, doszła ona do stwierdzenia...". Pisze wreszcie p. Sokolnicki, że nawet ta komisya z „naszych przyjaciół" złożona „przecież znaczną część koniecznej pracy spełniła w sposób rzeczowy i sumienny; snać wyraźna jasność, bezwzględna potrzeba rapperswilskiej sprawy rzuciła się tym ludziom w oczy i poddała ich, świadomie czy bezwiednie, obowiązkom narodowego sumienia".

I oto jest najlepsze ujęcie sprawy: tam gdzie komisya uznała zarzuty za niesłuszne... kręciła ona świadomie, a tam gdzie je uznawała za słuszne... była uczciwa bezwiednie.

W ten też sposób stało się, że komisya „część koniecznej pracy spełniła w sposób rzeczowy i sumienny".

Na to, aby komisya w oczach oskarżycieli zasłużyła sobie na ocenę, że była „w całości" a nie tylko „w części" sumienna i uczciwa, był widocznie jeden tylko sposób: kłamać i potwierdzać wszystkie zarzuty bez wyjątku. Wtedy bylibyśmy sumienni i uczciwi „w całości".

Naodwrót zaś zarzuca się komisyi, że sztucznie wydęła sprawę sprzedaży dubletów.

„Uczyniono ze sprawy dubletów głośną sprawę, usiłując przytłumić nią inne zarzuty" pisze p. Kłyszewski. Podobnie p. Wasilewski: „Z najkłopotliwszymi zarzutami co do niszczenia zbiorów przez kustosza załatwiła się komisya na 3 stronach; ten zaś zarzut dubletów zajął 7 stron i nazwany został „najważniejszym i najistotniejszym"; zdawałoby się, że jesteśmy w sklepie, gdzie sprzedaż jest momentem „najważniejszym i najistotniejszym". Niechby lepiej p. Wasilewski powiedział, czego mu jeszcze brakuje w wyjaśnieniach co do niszczenia zbiorów t. j. sprawy elzewirów, sztychów Oleszczyńskiego i wycinków Chodźki, a co skreślić należy w wyjaśnieniach sprawy dubletów, które komisya podała tak krótko jak tylko można było. Co do sklepu zaś i sprzedaży, to, gdyby nawet ktoś okładkę książki przestrzelił, książka jednak zostanie, a gdy się ją sprzeda, to już jej nie będzie. Mimo to owymi przez nikogo nie widzianymi i z przechwałki wysnutymi strzałami pukano na całą Polskę, a sprzedaż 5.000 książek za jednym tylko zachodem, to rzecz, nad którą nie ma co „rozwodzić się".

Mówi się, że komisya uderzyła na bibliotekarzy z przesadą. A tymczasem w sprawie, o którą głównie chodzi, mianowicie z p. Sokolnickim, orzeczenie rozgranicza bardzo wyraźnie odpowiedzialność p. Karczewskiego od odpowiedzialności p. Sokolnickiego, stwierdzając, na podstawie zeznać p. Karczewskiego, że układ swój z p. Sokolnickim pojmował on zupełnie inaczej, mianowicie znacznie ciaśniej, niż zrozumiał p. Sokolnicki. Winę bibliotekarzy zaś wogóle w sprawie dubletów widzi komisya w tem że należałoby książki sprzedawane odpowiednio skatalogować i podać odpowiednie propozycye finansowe, z któremi kustosz się liczył. Jakaż komisya na świecie orzeknie, że bibliotekarze nie mają żadnych obowiązków i żadnej odpowiedzialności w takiej sprawie bibliotecznej? Nie komisya, ale pp. oskarżyciele chcieliby dwóch miarek: jednej dla kustosza i dyrekcyi, a drugiej dla bibliotekarzy.

Wreszcie i sam także p. Sokolnicki wystąpił z zarzutami przeciw komisyi co do własnej sprawy.

Wolałbym o tej sprawie nie mówić, bo p. Sokolnickiego znałem i ceniłem jeszcze za lat uniwersyteckich, lecz muszę zwrócić uwagę na to, że p. Sokolnicki, zarzucając komisyi, iż w sprawozdaniu jej są „błędy i fałsze" oskarża ją niesłusznie, bo sam się myli.

P. Sokolnicki przytacza kilka punktów, co do których komisya miała popełnić błędy, a to z tego powodu, że nie wysłuchano wyjaśnień p. Sokolnickiego. Przypomina mianowicie p. Sokolnicki, że zażądano, aby sprawę dubletów badał „sąd rzeczoznawców" a nie komisya (żądał tego p. Karczewski) i mówi:

„Ta droga sądu została wskazana komisyi, lecz wskazania tego nie usłuchano. Odtąd na komisyi obecny nie byłem, na poszczególne tylko i konkretne kwestye, zapytany, dawałem odpowiedź. Ani jednej kwestyi z wymienionych, prócz punktu 5-tego, nie przedstawiono mi do drugostronnego wyświetlenia, czy do faktycznych wyjaśnień. Przy rozpakowywaniu pak, będących moją własnością, nie byłem obecny i za bezprawny sposób, w jaki je uczyniono, nie przyjąłem żadnej odpowiedzialności".

Nie zgadza się to z rzeczywistym przebiegiem sprawy i z zapiskami protokołu.

Sprawę p. Sokołnickiego badano w czwartek dnia 10 lipca. Zaczęto badać przedpołudniem, kończono popołudniu. Dopiero po przerwie obiadowej zgłoszono żądanie innego sądu

Ale już przedtem sprawa p. Sokolnickiego została dokładnie przedstawiona i p. Sokolnicki obszernie podał swoje wyjaśnienia i uwagi we wszystkich sprawach ważnych, o które chodzi. A i popołudniu, jak protokół stwierdza, p. Sokolnicki był obecny i zabierał głos w różnych sprawach siedm razy, nietylko na pytania komisyi. Rozpakowanie jednej skrzyni zapowiedziano już rano i p. Sokolnicki, który z początku mówił, że na to on musi pozwolić, potem w odpowiedzi na moje własne uwagi przyznał, że komisya ma prawo do tego. Jeśli zaś popołudniu w chwili gdy zaczęto rozpakowywać skrzynię, p. Sokolnicki nie był obecny (byli przy tem w każdym razie p. Szpotański, jako przedstawiciel stawiających zarzuty i p. Kopera) to jednak w dalszym ciągu rozpakowywania obecność p. Sokolnicktego jest znowu stwierdzona w protokole wyjaśnieniami, których udzielał.

Więc komisya te drugostronne wyjaśnienia miała. Z punktów p. Sokolnickiego pomijam dwa drobne szczegóły (co do „Preussische Jahrbücher“, gdyż wyjaśnienie p. Sokolnickiego zgłoszone później, zostało natychmiast uwzględnione i w orzeczeniu tego niema, oraz co do sprawy czy w skrzyni był jeden czy kilka tomów „Pologne“ Chodźki, o czem nie mam w tej chwili wiadomości). Co do wszystkich zaś pozostałych punktów komisya wysłuchała przedstawienia p. Sokolnickiego i to co do wszystkich, z wyjątkiem piątego, w czwartek rano. A mianowicie:

1) Co do zakresu umowy p. Sokolnicki sam potwierdził, że układ pojmował i przedstawił nowemu bibliotekarzowi p. Zielińskiemu w ten sposób, że kupił wszystkie dublety, znajdujące się wówczas w bibliotece, co zresztą i obecnie p. Sokolnicki podtrzymuje. (P. Karczewski zaś stwierdził, że układ obejmował tylko dublety już odłożone).

2) Co do druków obcych p. Sokolnicki potwierdził sam, że uważał je za objęte umową i zabierał aż do chwili, gdy nowy bibliotekarz sprzeciwił się temu. (P. Karczewski zaś stwierdził, że układ druków obcych nieskatologowanych nie obejmował).

3) Co do dzieł Voltaire'a, o których p. Sokolnicki też mówił w komisyi, to wedle jego pojmowania układu były one objęte układem, a dopiero wskutek ogólnego sprzeciwu nowego bibliotekarza co do druków obcych kupno ich załatwione zostało osobnym rachunkiem poza umową tamtą.

4) Co do druków starych, p. Sokolnicki potwierdził, że także były objęte umową a i teraz to podtrzymuje. (P. Karczewski zaś stwierdził, że nie).

5) Co do kroniki Stryjkowskiego po znalezieniu jej w skrzyni (popołudniu) prezes komisyi p. Libicki zwrócił się do p. Sokolnickiego z osobnem pytaniem o wyjaśnienie w sprawie tej książki i innych starych druków a p. Sokolnicki odpowiedział tylko, że ze starymi drukami mniej ma do czynienia i wartość tej książki nie jest mu znaua.

6) Co do tego, że p. Sokolnicki sam wyszukiwał dublety, to w odpowiedzi swej w komisyi na przedstawienie p. Zielińskiego p. Sokolnicki ani jeduem słowem temu nie przeczył. Obecnie zaś twierdzi p. Sokolnicki, że wyszukiwał sobie tylko książki potrzebne do pracy naukowej w bibliotece. Powołuje się także w tej sprawie na list p. Zielińskiego i mówi: „Znam natomiast dzięki uprzejmości p. Zielińskiego (bibliotekarza) list jego do Zarządu Muzealnego z kwietnia 1911, na kilka dni przed wyjazdem z Rapperswilu i już po ukończeniu wszelkiego wyboru dubletów pisany, w którym zaświadcza on o mnie wyraźnie, iż każdy niesprawdzony jeszcze dublet jemu, bibliotekarzowi, urzędnikowi odpowiedzialnemu za wydawanie książek do sprawdzenia przekazuję“. Tak, ale już to zdanie p. Sokolnickiego wskazuje, że sam on wyszukiwał dublety jeszcze niesprawdzone. A co więcej, właśnie ten list p. Zielińskiego i to w tem samem zdaniu, które p. Sokolnicki czytał, tak, jak cały list, i na które się powołuje, zawiera stwierdzenie, że p. Sokolnicki sam wyszukiwał dublety. Oto dosłowny ustęp listu tego z dnia 5 kwietnia (kopiał rappersw. str. 360):

„Przybywszy do Rapperswilu dowiedziałem się od panów dra Sokolnickiego i Karczewskiego, że wszystkie dublety należą do p. Sokolnickiego i to w myśl układu panów S. i K. nietylko dublety ogłoszone już jako sprawdzone, ale wszystkie, które się znajdować będą w bibliotece, prócz nowych wpływów dubletów. Wobec tego dr. S. wyszukiwał sam dublety i lojalnie sprawdzał ze mną te, co do których były wątpliwości. Nie czyniłem przeszkód p. dr. Sokolnickiemu i sprawdzałem tylko to, co p. dr. S. przedstawił mi do sprawdzenia...“ (Ostatnie zdanie listu brzmi: „List powyższy ze względów lojalności przedłożyłem p. dr. Sokolnickiemu do przeczytania“ i rzeczywiście p. Sokolnicki, jak sam to podnosi obecnie, list ten wówczas czytał i nie miał nic do sprostowania).

Tak się zatem przedstawiają owe „błędy i fałsze“ w orzeczeniu komisyi co do sprawy p. Sokolnickiego. I tak wogóle przedstawia się wartość zarzutu, że komisya wydęła sztucznie sprawę dubletów.

W sprawie rapperswilskiej uderza przedewszystkiem śmiałość, z jaką ci oskarżyciele odsądzają od czci i wiary jednych ludzi za drugimi. Teraz już i członków komisyi przedstawia się jako niezbyt dbałych o prawdę i uczciwość. A jeszcze gwałtowniej uderzono dawniej i jeszcze uderza się ciągle na ludzi, stanowiących zarząd Muzeum rapperswilskiego.

Ci ludzie Rapperswilu z dala od nas żyjący, nie byli w kraju znani tak jak ci, którzy stale żyją w Polsce. Kto oni są, mówi orzeczenie komisyi:

„Prezesem Rady Muzealnej, jest p. Józef Gałęzowski, któremu jako kapitanowi sztabu wojska rosyjskiego i profesorowi akademii wojskowej w Petersburgu, słynącemu z wiedzy i zdolności powierzył Rząd Narodowy r. 1863 naczelne stanowisko dyrektora Wydziału Wojny. Na emigracyi zaś wybił się p. Gałęzowski, pracując w wielkiej instytucyi finansowej Crédit Foncier, na stanowisko naczelnego szefa ogólnej rachunkowości. W życiu polskiem zagranicą był bardzo czynnym członkiem wszystkich towarzystw i instytucyi emigracyjnych. Zało-

życiel Muzeum hr. Władysław Plater wyznaczył go, dwoma aktami własnoręcznymi, na egzekutora testamentu i na dyrektora Muzeum.

„Wiceprezesem Rady jest p. Zygmunt Laskowski, w r. 1863 naczelnik miasta Warszawy z ramienia Rządu Narodowego. Następnie jako profesor fakultetu medycznego w szkole praktycznej w Paryżu, powołany w r. 1875 do zorganizowania fakultetu medycznego w Genewie, zostaje jego dziekanem, ma wielkie imię naukowe, jest członkiem wielu Akademii, doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, zdobywa sobie uznanie obywatelskie w Szwajcaryi i zostaje honorowym obywatelem Genewy.

„Bliższy zarząd stanowią członkowie t. zw. delegacyi paryskiej, do której należą: wiceprezes Rady p. Eugeniusz Korytko, b. uczeń Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, komisarz Rządu Narodowego w r. 1863, następnie w Paryżu szef poważnego przedsiębiorstwa handlowego, niestrudzony pracownik we wszystkich instytucyach emigracyjnych; p. Wacław Gasztowtt, który urodzony we Francyi, pospieszył do kraju i był uczestnikiem powstania 1863 r., następnie profesor Collège Chaptal w Paryżu, zasłużony pisarz zaznajamiający Francyę z naszymi wielkimi poetami w znanych przekładach, a także z całem naszem życiem jako redaktor „Bulletin Polonais“, od założenia tego pisma; p. Bolesław Rubach, b. uczeń Szkoły agronomicznej w Puławach, uczestnik powstania r. 1863; p. Hipolit Obrycki, uczestnik powstania 1863 roku, który następnie odbył studya lekarskie we Francyi, a zarazem jest znanym numizmatykiem.

„Członkiem Rady z emigracyi jest nadto uczestnik powstania 1863 r. i komisarz Rządu Narodowego, wieloletni znany w kraju poseł do Rady Państwa, Karol Lewakowski.

„Kontrolerem wreszcie Muzeum jest pułkownik z r. 1863, znany obywatel i wybitny pisarz Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

„Ludzie ci, a w szczególności członkowie prezydyum i delegacyi paryskiej, zasłużeni, wykształceni, nieposzlakowanego imienia, zajmujący się Muzeum rapperswilskiem z najzupełniejszą bezinteresownością i ofiarnością, zostali przedstawieni krajowi jako obskuranci, szkodnicy, a nawet uczciwość ich podano w wątpliwość.

„Najgwałtowniej jednak uderzono na p. Wł. Rużyckiego. Ukończył on gimnazyum w Lublinie. Był uczestnikiem powstania 1863 roku. Potem zajmował się w Monachium kupnem i sprzedażą dzieł sztuki i nabył w tych rzeczach znacznego doświadczenia. Zażywał u Polaków na emigracyi, jak świadczą n. p. listy Agatona Gillera, miru jako człowiek prawy. W r. 1887 sprowadził go hr. Plater wraz z H. Bukowskim do Rapperswilu. Tutaj pracował za wynagrodzeniem nasamprzód 100 fr., które w ostatnim roku doszło do 250 fr. miesięcznie. Żył i żyje jak pustelnik, sam sobie jest służącym, sam wykonywa i w Muzeum najpospolitsze roboty, wydaje na siebie śmiesznie mało a znaczną część dochodów obraca na dary dla Muzeum. Są one w Muzeum bardzo liczne, w tem także bardzo cenne, a wszystkie oznacza kustosz jako „dar W. R. de R.“ albo „dar żołnierza z r. 1863“, rozgłosu nie szukając. Jest to zapewne kustosz bez takiego wykształcenia teoretycznego, jakiego się dzisiaj na stanowisku takiem wymaga, choć wiedzy muzealnej ma dużo, ale to powiedzieć się musi, że gdy tego człowieka za jego ofiarność, poświęcenie i pracę sponiewierano bezwzględnie na całą Polskę, wyrządzono mu krzywdę i nie postąpiono godnie“.

Gdy zatem w orzeczeniu komisyi powiedziano na kogo to tak się napada, wśród oskarżycieli wywarło to żywe niezadowolenie. Więc w *Słowie Polskiem* pisano, że „pragnąc podnieść Radę muzealną w oczach społeczeństwa, komisya wylicza wszystkie godności członków Rady“ (nr. 390). Te „godności“, z takim przekąsem wspomniane, to udział w roku 1863. A p. Sokolnicki pisze w *Życiu*, że jest to „zgoła batiniolską przesadą tchnący panegiryk dla radców, który w danej sytuacyi nawet wobec najszanowniejszych ludzi tylko niesmak wzbudzić byłby zdolny“. Bo krótko powiedziano scisłą prawdę.

Niezadowolenie to jest zrozumiałe. O tych ludziach pisał p. Wasilewski, że „dbali tylko o władzę“ (nr. 335), że „obecny zarząd (prezes-dyrektor-kustosz) zrobił z instytucyi własność kółka towarzyskiego na emigracyi i mierzy ją na ambicye tego kółka“ (nr. 418), a o kustoszu, to już pisano wszystko: nazwano go w znanej broszurze, niepoczytalnym, potem zarzucono mu, że sprzedaje potajemnie książki, że popełnia oszustwa w księgach, grożono mu kryminałem.

Tak przedstawiano kogo? Ludzi roku 1863. I to ludzi rzeczywiście wybitnych. Ludzi, którzy i w Rapperswilu są żywymi pomnikami, mówiącymi światu więcej niż martwe pamiątki. Gdy ich zabraknie, braknie czegoś w tych murach i zrobi się dziwnie dawno od tej chwili, gdy w Polsce z orężem stawano do walki o wolność.

I oto ludziom, dla których miłość Ojczyzny była wówcza przed laty i jest na starość naprawdę zawsze żywem i najpierwszem uczuciem, z tego kraju, który oni musieli opuścić, padać zaczęły głosy tak nieprawdziwie i tak bezwzględnie szarpiące ich cześć i dobre imię.

Wołano ludziom roku 1863, że byli szaleńcami, teraz chciano dodać, że i najwybitniejsi z pośród nich są źli, mali, nieuczciwi.

O tem wszystkiem trzeba było pomyśleć, zanim się, na podstawie zarzutów w tak przeważnej mierze nieprawdziwych, zaczęło przeciw ludziom czystym i zasłużonym tę nieokiełznaną swawolę napaści, którą dzisiaj społeczeństwo musi potępić.

Stanisław Stroński.

Ziemstwa na Rusi.

Głośna od dwu lat kwestya ziemstw na ziemiach białorusko-małoruskich (gdyż wprowadzenie ich na Litwie zostało odroczone) jest na wyczerpaniu. We wszystkich powiatach sześciu

guberni, obdarzonych nowym samorządem ziemskim, dokonano w ciągu ubiegłych miesięcy letnich wyborów zarządów powiatowych, w ostatnich zaś dniach wybrani na zjazdach powiatowych radni gubernialni sformowali rady i zarządy ziemstw gubernialnych. Słowa p. Stołypina stały się zatem ciałem: „do męczeńskich dziejów rosyjskiego Zachodu wpisano nową kartę“. Wprawdzie sprawa ziemstw na Rusi odezwie się jeszcze echem na najbliższej sesyi obu izb prawodawczych, i echem niekoniecznie dla rządu miłem, ale jest rzeczą wykluczoną, aby debaty nad ziemstwem i w Dumie i w Radzie Państwa miały skończyć się inaczej, jak aprobatą czynów rządu.

Przebieg kampanii wyborczej był ze wszech miar interesujący. Interesowała się wyborami ziemskimi Rosya, raz dlatego, że już w czasie wiosennej debaty parlamentarnej nie bardzo dowierzano zapewnieniom ministeryalnym, iżby ziemstwo rosyjskie i włościanie miejscowi z upragnieniem czekać mieli na wyprowadzenie przez ziemstwo kuryalne z polskiej niewoli, a powtóre, że wybory ziemskie na Rusi zapowiadały się być próbką bliskich już wyborów do czwartej Dumy, próbką nastroju politycznego ludności i metod wyborczych rządu.

Dla naszego społeczeństwa wybory ziemskie były nierównie ważniejsze. Od ich wyniku zależały w dużym stopniu losy przyszłej gospodarki autonomicznej w kraju, gdzie w wielu jeszcze powiatach lwia część większej własności spoczywa w polskiem ręku, a gdzie dotychczas skutkiem karykaturalnego ziemstwa „margarynowego“ ogromne obszary pracy społecznej leżą odłogiem. Nikt łudzić się nie mógł, żeby wybory dać mogły radnych-Rosyan usposobionych do nas przychylnie czy obojętnie, bo takich na Rusi niema i wśród wyborców pp. Pichny Szulgina być nie może. Wiedzieli także wszyscy, że żywioł polski w nowem ziemstwie skazany będzie na nic nieznaczącą i bezsilną mniejszość. Nie mogło jednak być dla nas obojętnem, czy zwyciężą w wyborach żywioły t. zw. ziemskie, rzetelnie dbające o postęp kraju, o dobrobyt ciemnego chłopstwa, którego stosunek do dworu nie tak dawno znajdował swój wyraz w „czerwonych kogutach“, żywioły, które dawałyby gwarancyę pracy i możność pracy wspólnej, nawet w ramach tak okrojonej i wykoszlawionej autonomii lokalnej, jaką dał ukaz z 27. marca; czy też w nowych ziemstwach rej wodzić będą i o naszych interesach stanowić różnego rodzaju „untiery Pryszybiejewy“, działacze polityczni, rekrutujący się z urzędników gubernialnych, polujący na dobrą pensyę, sowite łapówki i łaskę pana gubernatora. Nadto niepokoić nas mogło zachowanie się ziemiaństwa polskiego, wśród którego nie tak dawno usiłowano z pewnem powodzeniem krzewić poglądy „krajowe“. I chociaż owe hasła jednostronnych ustępstw i wyciągania rąk do sąsiadów-Rosyan u tychże sąsiadów spotykały się z drwinami i niedowierzaniem, u rządu mijały bez echa, a nadewszystko u rodaków uchodziły za wyzucie się z poczuć godności narodowej, obawiać się było można, że pod obuchem ziemstwa stołypinowskiego, w poczuciu nowej „niezasłużonej“ krzywdy, wyciągnie się znowu ręka do zgody i znowu zawiśnie w powietrzu...

Rząd p. Stołypina do minionych wyborów przypisywał, rzecz zrozumiała, ogromną wagę. Chodziło mu, w pierwszym rzędzie, o to, aby ową nową kartę „męczeńskiego Zachodu“ wpisywali ludzie pewni, oddani i w dotychczasowej służbie wypróbowani, a więc tak zwani szumnie nacyonaliści. Chodziło dalej, o możność pochwalenia się na najbliższej debacie dumskiej stosem telegramów dziękczynnych za wyprowadzenie z domu niewoli, o stwierdzenie, że „ten piękny i bogaty kraj rosyjski wreszcie odetchnął“, że więc „po męsku rząd postąpił jeżeli w poczuciu niebezpieczeństwa nie uląkł się nawet konfliktu z wys. izbą“. Chodziło p. Stołypinowi o miłość własną. Użyto więc wszelkich ku temu środków. Ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało do gubernatorów okólnik, aby urzędnicy, mający cenzus wyborczy na Rusi, otrzymali urlopy i aby „przyczyniono się wszelkimi sposobami do tego, by urzędnicy ci mogli wyzyskać swe prawa i w odpowiednim czasie pojechać do guberni zachodnich“. Prokurator świątobliwego synodu polecił poufnie dygnitarzom cerkiewnym wezwać podwładne duchowieństwo do osobistego wzięcia udziału w walce wyborczej. Archijereje i archimandryci, znając uzdolnienia ojców duchownych, włożyli na nich funkcye policyi śledczej: w czasie kampanii wyborczej uwijali się po wsiach ojcowie na równi z uriadnikami i żandarmami i zbierali „informacye“ o wybranych kandydatach na radnych, o ich prawomyślności politycznej, o sposobie ich życia, o wpływie na nich Polaków i żydów. Informacye te posłużyły gubernatorom jako materyał przy zatwierdzaniu radnych, zaś rosyjskim komitetom przedwyborczym dawały oryentacyę polityczną na zgromadzeniach powiatowych. Gubernatorowie w asyście agitatorów nacyonalistycznych rozjeżdżali po powiatach, urządzali zgromadzenia przedwyborcze i osobiście uświadamiali wyborców. Nawet sam naczelnik zarządu do spraw gospodarki miejscowej, p. Gerbel zjechał z Petersburga i badał teren operacyjny. Cały aparat wyborczy spoczywał w ręku działaczy dawnego ziemstwa, marszałków szlachty z nominacyi i urzędników do szczególnych poruczeń: oni zwoływali wszelkie zebrania, oficyalne i poufne, robili wykazy wyborców, dzielili ich na kurye i kategorye. W kołach nacyonalistycznych utarł się sąd, iż p. Stołypin w projekcie ziemstw popełnił błąd, obniżając cenzus wyborczy, co poważną ilość miejsc radzieckich oddawało drobnym rolnikom, włościanom białoruskim i małoruskim, tudzież gdzie niegdzie kolonistom czeskim i niemieckim, wogóle zaś żywiołom innorodczym. Stąd starano się niedopuścić do licznego udziału w wyborach włościaństwa: miejsca zjazdów często wyznaczano nie w miastach powiatowych, ale w oddalonych zapadłych kątach, termin wyborów „wypadł“ w czasie najpilniejszych robót polnych, posiedzenia rozpoczynano z kilkogodzinnem opóźnieniem i przeciągano je do późna w noc. Wszystko to miało odstraszyć drobnych gospodarzy. A gdy pomimo to przedstawiciele kuryi włościańskich stawiali się w komplecie, poczynano szeroko stosować art. 40 ustawy ziemskiej, oddający w ręce prezesów zjazdów stwierdzanie tożsamości wyborców i usuwanie osobników „nieznanych“, którymi, a rzecz na-

turalna, byli jedynie oponenci, nie dający się wziąć na lep nacyonalistycznej agitacyi. Agitacya zaś ta przybrała ogromne rozmiary. Prasa rosyjska donosi zgodnie, że poza forsą rządową „wszechrosyjski związek nacyonalistów“ sypnął w lud masy książek, broszur, odezw, polecających kandydatury nacyonalistycznych menerów, że całą tę makulaturę rozdawano w tysiącach egzemplarzy w cerkwiach i urzędach, że równie dobrze uciekano się do groźb i przekleństw, jak i cerkiewnych błogosławieństw.

Jakiż jest wynik wyborów? Podobno rząd jest zadowolony. Pisma nacyonalistyczne tryumfują. Według obliczeń *Nowego Wremia*, skład partyjny radnych z pierwszej kuryi rosyjskiej (większej własności) wygląda jak następuje: w gub. witebskiej na 138 radnych, jest 100 ludzi prawdziwie rosyjskich, w gub. mohylowskiej na 181 jest 108 z tegoż obozu, w gub. mińskiej na 146 — 93, w gub. wołyńskiej na 203 — 173, w gub. kijowskiej na 244 — 232, wreszcie na 216 radnych w gub. podolskiej jest z prawicy 199. „Jeśli dodać — pisze dalej *Now. Wremia* — że włościanie radni od gmin wiejskich prawie całkowicie idą z prawicą i nacyonalistami, tedy będziemy mieli obraz wogóle ogromnie wyrazisty“. Ta wyrazistość obozu zaciera się jednak w sprawozdaniach innych pism. *Birżewyja Wiedomosti* donosząc o wyborach w kuryi włościańskiej, która według organu p. Suworina miała iść z prawicą, pisze: „W pow. kijowskim wszyscy radni w liczbie 12 — bezpartyjni, przytem czarno-secińcy, którzy zjawili się ze znaczkami związkowymi, zostali zabalotowani. W pow. czerkaskim wybrano 13 radnych, w berdyczowskim 12 — i wszystko to są bezpartyjni. A niema naturalnie wątpliwości, że pod mianem bezpartyjnych kryją się żywioły postępowe“. Również cyfry z kuryi większej własności w innych pismach wyglądają inaczej. Jest faktem, że w gub. wołyńskiej nacyonaliści ponieśli porażkę. Na zebraniu gubernialnem kandydat na prezesa ziemstwa wołyńskiego, poseł Szulgin, jeden z leaderów nacyonalizmu, przewidując swoją klęskę, był nieobecnym, a drugi kandydat nacyonalistów, Mieziencew otrzymał zaledwie 24 głosy, podczas gdy na kontrkandydata jego p. Dwernickiego padło 47 głosów. W gub. kijowskiej, *Kijewskaja Mysl* oblicza na 400 radnych ziemstwa zaledwie 30 nacyonalistów, toteż prezesem ziemstwa gubernialnego wybrany tam został p. Sukowkin, nie należący do nacyonalistów kijowskich, członek t. zw. grupy ziemskiej, złożonej z żywiołów umiarkowanych i bezpartyjnych, która w czasie wyborów przeciwstawiała niemal wszędzie kandydatom nacyonalistycznym swoich kontrkandydatów. Wątpliwe także być muszą liczby *Nowego Wremia* dotyczące innych guberni, bo i tam nie wszędzie na prezesów ziemstw powiatowych i gubernialnych powybierano nacyonalistów. Ogółem jednak, jak było do przewidzenia, do ziemstw dostały się w większości jednostki dobrze u rządu widziane, a do steru, do zarządów powiatowych powybierali się ci, w ręku których znalazł się cały aparat wyborczy: marszałkowie szlachty, urzędnicy gubernialni i kierownicy ziemstw „margarynowych“ — wszyscy ludzie o nieposzlakowanym patryotyźmie prawdziwie-rosyjskim, choć nie zawsze zwolennicy pp. Szulgina i Pichny a co zatem idzie i samego p. Stołypina

Niemniej jednak prawicowa prasa rosyjska uderzyła w surmy tryumfalne. „Ziemska kampania wyborcza — pisze *Nowoje Wremia* — dała niewątpliwe dowody słuszności i żywotności zasad, na których oparto prawo z 27 marca i należy przypuszczać, że obecnie to prawo jest gruntownie opancerzone przed zakusami wykoszlawienia go... Obecnie głos decydujący mają fakty, a fakty dowiodły między innemi, że gdyby prawo z 27 marca nie zostało wprowadzone w ten nadzwyczajny sposób, w jaki je wprowadzono, to kraj zachodni długo jeszcze musiałby czekać na ziemstwo nie rosyjskie, lecz polskie, które dałoby jeszcze więcej siły polskiej przewadze w tym rosyjskim kraju“. *Kijewlanin*, w którego redakcyi zrodziły się talenty polityczne p. Pichny, nie jest zbytnio zadowolony z powodu przegranej tu i owdzie nacyonalistów i na prawo i lewo szuka winowajców, wytykając z goryczą błędy swoich zwolenników. Drugi natomiast organ nacyonalizmu kresowego *Minskoje Słowo* z żywem zadowoleniem konstatuje zaufanie ludności do naczelników ziemskich i komisarzy włościańskich (mirowych pośredników), którzy w pokaźnej liczbie zajęli miejsca radzieckie w Mińszczyźnie. *Swiet* jak zawsze denuncyuje Polaków za brak uczuć wiernopoddańczych i z rozkoszą rozpisuje się o „tryumfie nacyonalizmu rosyjskiego nad nacyonalizmem polskim na Podolu“. Zaś organ p. Stołypina, półurzędowa *Rossija* odpowiadając na zarzuty prasy postępowej, że rząd z instytucyi społecznej, jaką powinno być ziemstwo, uczynił teren walk politycznych i narodowościowych, usprawiedliwia się, że „przecież tylko Polacy mogą mieć w tych odwiecznych rosyjskich guberniach jakieś zadania polityczne, bo oni to są napastnikami, którzy dążą do wyparcia Rosyan z ich ziemi... Rosyanie tylko się bronią... Mieć pretensyę do ludności rosyjskiej tych guberni, że pragnie mieć tam ziemstwo rosyjskie, to znaczy tyleż, co powiedzieć: ze sprawą rosyjską tam koniec raz na zawsze i prosimy pokornie Polaków, aby dokończyli polonizowania kraju“. Najskromniej zachował się najbardziej „kresowy“ organ, lwowska *Pryk. Ruś*, która jedynie z zadowoleniem podkreśliła zwycięstwa nacyonalistów. (Przypomnieć należy, że ów wynajęty przez hr. Bobrińskiego organ zajmuje w tej sprawie odmienne stanowisko: jeszcze w lutym r. b. pisało się tam, że do celu t. j. do odpolszczenia kraju doprowadzić może jedynie „czyn rewolucyjny, który oddawna dyktuje samo życie“ a który ma polegać na „przymusowem wywłaszczeniu posiadłości ziemian polskich“ i obsadzeniu katedr biskupich w Wilnie i Żytomierzu przez nie-Polaków).

Próbkę przyszłych prac nowego ziemstwa na Rusi dają pierwsze zgromadzenia dla wyboru zarządów powiatowych (ziemskich ujezdnych upraw). Poza wyborami na porządku dziennym stała wszędze sprawa płac prezesa i członków zarządu. O wysokość tych płac dyskusya była najdłuższa i najbardziej ożywiona. Radni-Polacy i włościanie byli za płacą niską, motywując swoje zdanie tem, że stano-

wiska ziemskie są raczej honorowemi niż zarobkowemi, nacyonaliści rosyjscy gardłowali za płacą najwyższą z powodu... ogólnej drożyzny. Toteż powyznaczano na ogół płace wygórowane: 5 tys. rubli dla prezesów, od 2 do 3 tys. dla członków zarządu. Zdarzało się, że gdy Polacy i włościanie przegłosowali Rosyan i płace obcięli, nowowybrani członkowie zarządu wnosili rezygnacyę, tłumacząc się otwarcie, że oni tak tanio nie mogą. Podobno taka zbyt jawna żarłoczność pupilów niemile dotknęła tego i owego gubernatora i tu i ówdzie spotkały się zarządy z odmową zatwierdzenia owych tysięcy. Poza tą sprawą na wszystkich bez wyjątku zjazdach debatowano nad wysyłaniem telegramów, wiernopoddańczych do cara i dziękczynnych do prezesa ministrów. Tutaj należy powiedzieć kilka słów o zachowaniu się ziemiaństwa polskiego.

Projekt ustawy o ziemstwie w 6 guberniach Białorusi i Małorusi poddali posłowie polscy w Radzie Państwa rzeczowej i sprawiedliwej krytyce. Społeczeństwo polskie dowiedziało się zarówno ze szczegółów ustawy jak i z debat parlamentarnych, że w przyszłem ziemstwie żywioł polski skazany będzie na rolę bierną. Wiadomem się stało, że gospodarkę w kraju oddano niepodzielnie w ręce ludzi obcych, żywiołu napływowego, który niespełna 50 lat temu zjawił się w postaci importu polityki rządowej, aby odpolszczyć kresy, co było zamiarem rządu, tudzież aby wysyskać przywileje i folgi i zabezcen kupować ojcowiznę Polaków. Technika wyborcza zapewniała nadto zwycięstwo owych różnych „dołżnostnych lic“, nie mających żadnego związku z krajem, którzy pierwszy raz bodaj zobaczyli „kraj zachodni“, gdy udzielono im na rozkaz p. Stołypina urlopów, a którzy cenzus wyborczy oddziedziczyli po ojcach, „uśmiritielach“ polskich walk za wolność. Wiedziano zatem, że przyszła gospodarka samorządna nietyle odpowiadać będzie istotnym potrzebom kraju, ile dążeniom każdorazowego rządu. Co do udziału w samorządzie rzeczywistych gospodarzy kraju, szlachty polskiej, reprezentującej na Rusi kulturę, tradycyę i pracę, to nikt łudzić się nie mógł, aby udział ów, sprowadzony przez ustawę do głosu wołającego na puszczy i do pracy w komisyach, mógł w czemkolwiek złagodzić antypolski charakter ziemstwa.

Pozostało Polakom tylko jedno: cichą, codzienną pracą w instytucyach ziemskich przysparzać dobro kraju. „Choćby ziemstwa były jeszcze gorsze — pisał jeszcze przed 2 laty *Dziennik Kijowski* (Nr. 245 r. 1909) — jeżeli tylko pozwalają nam do nich choćby wcisnąć się, wejść powinniśmy i największą sumą pracy uczciwej a umiejętnej zaważyć, da Bóg, rozsadzić ramki. Pokazać raz więcej, że nie jesteśmy piątem kołem, ale tem, bez którego wóz krajowej gospodarki pójść nie może i nie pójdzie“. Toteż zgodnie z tem Polacy wszędzie stawili się do wyborów i wszędzie wybrali radnych z kuryi polskiej, we wszystkich także radach gubernianych Polacy zostali członkami komisyi, gdzie właśnie trzeba pracować. Co do zajmowania stanowisk w zarządach powiatowych ustaliła się opinia, że mandaty te należy przyjmować, jeżeli propozycya wyjdzie od Rosyan. W kilku powiatach na Wołyniu, Ukrainie i w gub. mohylowskiej Polaków wybrano (po jednym), natomiast na Podolu i Mińszczyźnie kandydaci polscy zostali zbojkotowani z małymi wyjątkami. Otóż w tej sprawie popełniono błąd. Przedstawiciel kuryi polskiej, zasiadając w zarządzie powiatowym, będzie brał na siebie i reprezentowane przez niego ziemiaństwo polskie odpowiedzialność za gospodarkę zarządu i dawał jej niejako sankcyę moralną. Jeżeli zaś zarząd zacznie stosować na terenie ziemstwa zadania prawdziwie-rosyjskiej polityki, pozostaną mu jedynie prostety i *vota separata*, zatajone w protokołach obrad. A dodać należy, że niesumienni agitatorowie ludowi niezawodnie wyzyskają to dla dalszego jątrzenia przeciwko nam ludu ruskiego, winiąc i nas w utrzymywaniu nędzy i ciemnoty chłopa. Dziś już organ „ukraińców“ kijowskich *Rada*, wobec wprowadzenia nowych ziemstw, pisze: „*Polskii grafy jak i nowospeczeni ruskii zemlewładielcy* utrzymywać lud w nędzy potrafią jednako. *Dla nas prawdu skazaty: oboje-raboje*“. A co będzie później? I *Rada* także zapytuje: „*A szczo todi bude, jak zakonnyj wołodar kraju, jakij borozdyw joho swoim plugom sotni lit i boronyw swoimy hrud'my* się przebudzi?“.

W sprawie wysyłania do p. Stołypina telegramów dziękczynnych, Polacy wszędzie tam, gdzie chciano sfałszować ich opinię bądź też sterroryzować, zajęli jasne i niedwuznaczne stanowisko. Podpisów pod depeszami odmawiali, bądź też wnosili protesty, i to zarówno na zjazdach powiatowych jak gubernialnych. Dla rządu nie jest to miłem. Telegramy miały być dowodem powszechnego uznania. Rachuby jednak zawiodły: też same telegramy dały Polakom możność wniesienia głośnego protestu. Wprawdzie p. Gerbel chwalił się w *Nowoje Wrenia*, że ma telegram dziękczynny z pewnego powiatu od wszystkich radnych „bez różnicy wyznań“. Ale ów dygnitarz nie zawsze zwykł mówić prawdę — to po pierwsze, a po drugie, jak pisze *Dzienn. Kij.*, „wdzięczność jednego powiatu musi stracić na znaczeniu wobec niewdzięczności sześciu guberni“. O ile więc dla p. Stołypina Polacy okazali się „niewdzięcznymi“ to zajęcie podobnego stanowiska w telegramach docara było rzeczą niemożliwą. Odmówić podpisu na telegramie wiernopoddańczym, to w oczach Moskala — zdrada stanu. Toteż radni polscy przyłączyć się do tego „hołdu“ musieli, bądź też, jeżeli Rosyanie pozwalali sobie na zbytni upust wezbranego patryotyzmu, osobno „wznosili modły o przedłużenie panowania dla dobra cesarstwa i wszystkich wiernopoddanych“. Bądź co bądź jednak nie wszędzie radni polscy stanęli na wysokości trudnego zadania, zdawając się zapominać, jak dyskretnie pisze *Dz. Kij.*, o tem, że w duszy narodu „coraz bardziej świadomej swych praw przyrodzonych, bolesnem echem odbija się każde słowo nieopatrzne, każdy gest, urągający powadze narodowego majestatu“. Wzamian za to od urzędowego „majestatu“ ziemstwa otrzymały tak gburowate odpowiedzi jak n. p. ziemstwo kijowskie: „Szczerze życzę powodzenia nowym działaczom ziemskim w oczekującej ich pracy, skierowanej ku rozkwitowi ojczystego kraju oraz k u w z m o c n i e n i u s a m o p o c z u c i a r o s y j s k o ś c i w ś r ó d l u d n o ś c i“.

Pozatem w taktyce ziemian polskich wytknąć można sporo drobniejszych błędów. W nie-

których powiatach wyborcy polscy dali się wciągnąć do układów z Rosyanami, które nota bene potem nie były dotrzymane; gdzie niegdzie głosy polskie nie padały solidarnie; gdzie indziej znowu, wbrew uprzednim uchwałom, zgłaszali Polacy na ochotnika swoje kandydatury do zarządów. Naogół jednak z trudnej kampanii wyborczej żywioł polski wyszedł obronną ręką: do wyborów stanął, pracy w ziemstwie się podjął, wobec p. Stołypina, jego służalców i jego dzieła zajął wyraźnie odrębne stanowisko. Parę lat najbliższych wykaże, w czyich rękach gospodarka kraju powinna się była znaleźć, a w jakie została oddana. *St. G.*

Wiadomości polityczne.

Głos żalu i gniewu

Znany obywatel-ziemianin i bardzo gorliwy działacz narodowy, p. Tadeusz Czarkowski-Golejewski, b. prezes Rady powiatowej borszczowskiej aż do ostatnich smutnych wyborów, nadesłał do *Słowa Polskiego* list przedstawiający w jaki sposób obecna polityka rządu krajowego odziaływa na stosunki miejscowe we wschodniej części kraju. Wiadomo, że w powiecie borszczowskim polityka ta zaznaczyła się bardzo smutno już przy wyborach powiatowych: ukraińcy weszli wzmożeni, pracownicy polscy najzasłużensi, jak p. Dzierżek, zwalczani przez starostwo w porozumieniu z grupą warcholskich ziemian, nie znaleźli się w Radzie, p. Czarkowski-Golejewski usunięty został z prezesury Rady, a wiceprezesem jej i faktycznym rządcą autonomii powiatowej został p. Damian Sawczak, znany działacz ukraiński. Obecnie zaś, przy wyborach parlamentarnych, okazało się, że liczba głosów oddanych na kandydata polskiego zmalała o 2 proc. Wobec tego, że także w okręgach t. zw. czysto ruskich wszyscy Polacy głosować powinni na własnego kandydata i nie przyzwyczajać się do głosowania na kandydatów ruskich lub usuwania się od wyborów, pracownicy miejscowi odczuwają oczywiście boleśnie taki spadek głosów i właśnie z powodu wzmianki o tem w korespondencyi *Słowa Polskiego* nadesłał p. Czarkowski-Golejewski swój list. Drobne wahania w ilości głosów są zawsze możliwe, wiadomo jednak, że zjawisko ogólne było odmienne, mianowicie dzięki pracy organizacyi polskich głosy polskie szły wszędzie w górę. Otóż p. Czarkowski-Golejewski wskazuje, że w powiecie borszczowskim polska praca narodowa spotyka się z wielkiemi trudnościami i przeszkodami ze strony miejscowych władz urzędowych. P. Czarkowski-Golejewski podaje nazwiska i fakty świadczące o takiem stanowisku kierownika starostwa p. Makowieckiego i spowinowaconego z nim urzędnika podatkowego p. Karczewskiego, z którymi wszyscy muszą się liczyć, a którzy nietylko są dla polskiej pracy narodowej nieprzychylnie usposobieni, ale także popełniają nadużycia władzy urzędowej albo też, jak p. kierownik starostwa, nie zdając sobie sprawy z kompetencyi władz urzędowych i autonomicznych, szerzą nieład. Co więcej, p. Czarkowski-Golejewski wspomina, że powołując się na fakty, wnosił sam zażalenie na obu tych urzędników do p. namiestnika i do p. prezydenta dyrekcyi skarbu, ale zupełnie bezskutecznie. Pisze tedy p. Czarkowski-Golejewski:

„Nie łudźmy się, ale przyznajmy otwarcie, że polityka krajowa spoczywa w rękach człowieka, który o psychologii ludu, na kresach żyjącego, najmniejszego pojęcia nie ma, a następstwem tego jest szkoda, wyrządzana nam, tak wielka, że i za lat 50 nie opamiętamy się z niej.

P. Bobrzyński w swoich aspiracyach ambicyjnych ignoruje Koło Sejmowe, ignoruje Radę Narodową, ignoruje prawicę sejmową a w zarozumiałości swojej i w bojaźni przed Siczyńskimi i jemu podobnymi hajdamakami, zapomina o czem w historyi swojej pisał, i wszystkie błędy, które tam wytyka, z całą brutalnością popełnia sam, ignorując prawo i gwałcąc ustawę. Czy trzeba dowodów na to szukać? Najbliższym jest wybór Stanisława Starzyńskiego, wybór Kozłowskiego, wybory do Rady powiatowej w Sokalu, w Czortkowie, w Borszczowie.

Czy p. Bobrzyński w zapamiętałości swojej nie czuje tego jako urzędnik cesarski, że postępując tak jak dotąd, największą krzywdę wyrządza powadze urzędu, na czele którego stoi? Czy w interesie rządu leży drażnienie ciągłe ludności kraj wschodni zamieszkującej; a to przez arbitalne i absolutne narzucanie swojej woli wbrew wszystkim ustawom i rozporządzeniom?

Nie my tu winni, że procentowo mniejszą liczbę głosujących wykazaliśmy, ale winno kierownictwo władzy politycznej. Czy my możemy z czystem sumieniem patrzeć, jak radykalizm ruski mści się na tych, którzy nie poszli za ich kandydatem przy wyborach, a mści się najdotkliwiej, bo po nocach niszczy mu plony, na które on cały rok pracuje, aby wyżywić rodzinę swoją? a gdzież pójdzie szukać sprawiedliwości? czy do starosty który ma z góry nakazane, aby utrzymał stan posiadania? Któż nam te szkody wynagrodzi i kto obroni przed rozagitowanym przez żywioły radykalne tłumem? O uszy moje obijają się ciągłe skargi, że szyby temu powybijano, drugiemu konopie w nocy wymykano, trzeciemu żyto w półkopkach porozrzucano, stratowano i z błotem zmieszano, czwartemu kukurydzę powyrywano. Sąd wymaga świadków, żandarmerya nigdy niczego nie wyśledzi, władza polityczna sama gwałci ustawę i jak ona może karać gwałcenie ustaw i pociągać do odpowiedzialności zwierzchności gminne?

A teraz pytam p. Namiestnika, jaką rządy jego wydadzą generacyę urzędników, wychowanych w takiej szkole? Po co młodzież zmuszać do zdawania egzaminów praktycznych z ustaw administracyjnych, kiedy tę młodzież w praktyce uczy się nie zważać na ustawy, ale ślepo iść za nakazem namiestnika, w przeciwnym razie karanym się jest przenoszeniami, jak się to stało u nas w dwóch wypadkach, a mianowicie dwóch urzędników zdolnych, pracowitych i prawych, wytykało kierownikowi nadużycia i gwałcenie ustawy wyborczej i w krótkim czasie zostali stąd zabrani.

Wśród takich rządów korrupcyjnych, gdzie na użalanie się u namiestnika kraju przez obywatela nie znachodzi się sprawiedliwości, lecz przeciwnie, popiera się żywioły korrumpujące, praca narodowa jest utrudnioną i nie można nas winić za to.

Myśmy przywykli do namiestników, którzy znali stosunki nasze na wskróś i wiedzieli, że my z ludem ruskim żyliśmy, żyjemy i żylibyśmy wieki w zgodzie, bo to bratni nasz naród, nie rzucali kości niezgody między nas, a na kierowników władz politycznych dawali ludzi wytrawnych i wyszkolonych urzędników, którzy umieli antagonizmy łagodzić, ale nie roznniecać, nie jątrzyć. Powiat borszczowski mógł pod tym względem służyć za wzór, a co z niego p. Bobrzyński zrobił, to widzimy teraz na każdym kroku.

Mówimy i narzekamy na stosunki rosyjskie; proszę wierzyć, że my w gorszych żyjemy, niż rodacy nasi w Rosyi, bo tam dusi polskość Moskal, a opłacić się, to ma się spokój, tu dusi polskiego ducha Polak i na to rady niema".

Te słowa ostatnie brzmią już nie tylko żalem, ale wzburzeniem i gniewem. Wypowiada

je jednak człowiek bardzo poważny i bardzo rozważny. Nikt też nie będzie mógł twierdzić, że p. Czarkowski-Golejewski chciałby, aby władze sztucznie popierały polskość a uciskały działalność ruską, gdyż należy on właśnie do ludzi, którzy sądzą, że nie władza ma hodować polskość na wschodzie, ale my sami i dlatego przoduje w pracy obywatelskiej, oświatowej i gospodarczej. Więc p. Czarkowski-Golejewski chce tylko, aby władze tej pracy polskiej nie przeszkadzały i nie rozbijały jej. A dzisiaj tak się dzieje i to nie tylko w powiecie borszczowskim. Faktem jest, że dzisiaj urzędnicy, wiedząc jaki wiatr wieje, boją się skarg ruskich i patrzą przez palce na wszelkie nadużycia ruskie oraz na terroryzowanie ludności polskiej. Faktem jest także, iż dzisiaj, wobec takiego nastroju, nawet urzędnicy dawniej najbezstronniejsi czują się nieswojo wobec działaczy polskich, niechętnie ich widzą, źle o nich mówią, utrudniają im ich najbardziej uprawnioną pracę. Faktem jest wreszcie, że zażalenia ruskie na urzędników wywołują dzisiaj zawsze dochodzenia, zazwyczaj kłopoty lub nieprzyjemności dla urzędników, często przeniesienia, a zażalenia ze strony polskiej nie tylko nie szkodzą urzędnikom (czasem nawet w oczach namiestnictwa dobrze to świadczy o urzędniku, że działacze polscy na niego się skarżą), ale nawet spotykają się z przyjęciem z góry nieżyczliwem i wręcz gburowatem, bo znane są wypadki, że najpoważniejszym obywatelom, pragnącym przedstawić stosunki miejscowe, p. Namiestnik przerywa sucho uwagą, że on ma swoje informacye i innych nie potrzebuje. I tak powoli stosunek władz urzędowych do pracy polskiej i ludności polskiej na wschodzie staje się wręcz nieznośny i wyrządza nam wielkie szkody. Stąd ten żal i gniew, którego wyrazem jest bardzo znamienny i do głębokiego zastanowienia się pobudzający list p. Czarkowskiego-Golejewskiego.

Ks. biskup tarnowski o dzisiejszej naszej polityce.

Na ostatniem zebraniu ogólnem trzydniowego Kongresu Maryańskiego w Przemyślu, d. 28. sierpnia b. r., przemówił jako ostatni mówca, przed zamknięciem zjazdu przez prezesa honorowego St. Tarnowskiego, ks. biskup tarnowski Wałęga. Mowa ta, podana w całości przez parę tylko pism, wywarła podobno i musiała wywrzeć głębokie wrażenie. Ks. biskup tarnowski mówił o dzisiejszej polityce. A mówił bez ogródek. Mowa ta, wspaniała swą mocą, otwartością, śmiałością, a zarazem powagą dostojnego mówcy, przypomina sławne w ciągu wieków mowy i kazania mężów Kościoła, którzy nie wahali się mówić głośno prawdy możnym swej chwili. Główna jej część, poświęcona dzisiejszej polityce, brzmi:

„A w życiu politycznem do czegośmy doszli? Oklaskujemy polityczne powodzenie jednostek, choćby one szły w pracy z pogwałceniem prawa Bożego. A jednak, jeśli polityka ma być zdrową i przyjść z pomocą narodowi, to musi iść w zgodzie z etyką katolicką. Tymczasem u nas podstawą życia politycznego stały się kompromisy. Zawieramy je chętnie i często, najpierw z partyami, potem z zasadami, wreszcie z sumieniem. I doszło do tego, że łamanie praw Bożych jest dzisiaj regułą we wszystkich niemal partyach.

A wybory? Tyle w nich brudu, tyle nieuczciwości, że patrzącemu z boku zdaje się, iż nie ludzie, ale sam Pan Bóg chyba zawiesił na ten czas konstytucyę i pozwolił na swawolę. Nie mam tu na myśli osób lub partyi, ile stwierdzam tylko fakta ogólne i nietylko odnośnie do ostatnich wyborów. Ale to śmiało mogę powiedzieć, że jeszcze kilka takich wyborów, a podkopiemy zupełnie duszę ludu.

Żaden z kapłanów przy ostatnich wyborach nie został wybrany; nie mówię tego, abym miał żal o to do jakichś partyi, bo sam osobiście sądzę, że lepiej się stało. Ale stwierdzam, iż stronnictwa same odczuły, że źle się stało, a niektóre nawet usprawiedliwiały się z tego. Jednak wszystkie one, o ile księży na posłów chciały, to pragnęły w nich widzieć tylko pokornych kapelanów, a nie surowego sędziego sumień.

Wytrawny nowoczesny polityk zapyta mnie, jak daleko zajdę z mojemi zasadami? Odpowiadam mu... aż do nieba. Uśmiechnie on się na to... może z politowaniem. Gdyby mi było do śmiechu, to śmiałbym się, ale z jego katolicyzmu.

Politycy twierdzą, że nie da się wyborów przeprowadzić bez rozmaitych sztuczek. A ja im odpowiem, że zapomnieli chyba o prastarej zasadzie, iż „non sunt facienda mala, ut eveniant bona“. Zdaję sobie zupełnie sprawę z tego, że trzymając się zasad katolickich, nie zawsze w polityce będziemy górą. Ale obrona zasad katolickich nie zawsze była tryumfem. Jeśli trzeba, to zajdziemy i do katakumb i tam się bronić będziemy. A pamiętajmy, że z katakumb katolicyzm dotychczas wychodził zwycięsko.

Politycy powiedzą, że jest to polityka katastrof. A ja odpowiem, że zasady Chrystusa Pana nie wywołały dotychczas jeszcze katastrof. Zresztą bądźmy szczerzy. Lepiej doprowadzić do katastrofy, niż powoli zatruwać lud, jak to się dziś dzieje“...

Mowa ta jest nowem i bardzo doniosłem wystąpieniem przeciw polityce „brudnych dróg“, którą otwarcie na sztandarze swym wywiesili dzisiejsi politycy krakowskiej prawicy narodorodowej w *Przeglądzie Polskim*, pokpiwając sobie z „moralistów, kaznodziejów, apostołów“. Przypomnieć trzeba, że tuż po rzuceniu tego zdumiewającego hasła, wystąpił przeciw niemu bardzo stanowczo i bardzo wyraźnie Stanisław Tarnowski, jeden z założycieli dawnego stronnictwa krakowskiego i *Przeglądu Polskiego*, w znanem wspomnieniu poświęconem ś. p. Andrzejowi Potockiemu w drugą rocznicę śmierci. Dzisiaj występuje przeciw takiej polityce, która od dłuższego czasu jest wcale nie hasłem tylko ale czynem, dostojnik Kościoła, więc jestto znowu głos, którego prawica narodowa lekceważeniem nie zbędzie.

Znamienne są już niektóre szczegóły, o których ks. biskup miał sposobność wspomnieć pokrótce. Zwraca mianowicie uwagę wzmianka o tem, że w ostatnich wyborach pierwszy raz nie wszedł do Koła Polskiego żaden kapłan i że „niektóre stronnictwa nawet usprawiedliwiały się z tego“. Wiadomo, że mowa tu o prawicy narodowej, której uroczyste takie usprawiedliwienie się ukazało się w *Czasie* (d. 12. lipca b. r.). Nic dziwnego, że ks. biskupowi tarnowskiemu nie wydało się ono dostatecznem zamknięciem tej sprawy. Bo, uroczyste tonem, było ono jednak bezwstydnie śmieszne swą treścią. Mianowicie na całą swą obronę znalazła tam prawica narodowa coś, co się wprawdzie nie stało ale mogło się stać: zarząd prawicy narodowej starał się nakłonić jednego z kapłanów do kandydowania, ale starał się bezskutecznie, w okręgu krakowskim, w którym zresztą nie było żadnych potemu widoków (wybrani pp. Daszyński i Tetmajer). Natomiast o tem co się rzeczywiście działo nie mówi prawica narodowa nic, a działo się to, że nie tylko żadnej kandydatury księdza nie popierała

ona, ale wprost przeciwnie rząd krajowy, na podstawie porozumienia prawicy narodowej z ludowcami, popierał np. przeciw ks. Męskiemu i ks. Rzeszódce ludowców.

Jeszcze znamienniejsze są jednak szybkie ale bardzo wyraziste rysy, którymi ks. biskup tarnowski odtwarza postacie dzisiejszych naszych polityków. Gdy mówi jak to dzisiaj „oklaskujemy polityczne powodzenie jednostek, choćby one szły w pracy z pogwałceniem prawa Bożego“, wiemy i jak żywo widzimy kto to są te jednostki cieszące się dziś takiem powodzeniem i kto je oklaskuje, głaska i hołubi, wiąże się z niemi w sojusze. Wiemy także kto to są ci „wytrawni nowocześni politycy“, bo wszak oni sami przeciwstawiają się dumnie tym, którzy „mogą być moralistami, kaznodziejami, apostołami ale politykami nie są“.

Czas nie należy do pism, które podały mowę ks biskupa. Pisze on (nr. 391 d. 29 sierpnia) z niezmiernym szacunkiem, ale krótko, jak to z „świetną argumentacyą“ mówił ks. biskup „o naszych wadach narodowych“, a „publiczność, pomimo widocznego już zmęczenia, słuchała słów ks. biskupa z wielkiem skupieniem, przerywając często oklaskami“. Co to jednak tak bardzo zajmującego mówił ks. biskup, o tem w *Czasie* głucho.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Sejmowa reforma wyborcza. Na skutek doniesienia pism codziennych, że Marszałek krajowy zażądał od przewodniczącego komisyi reformy wyborczej do Sejmu, dra Leo zwołania komisyi, dr. Leo rozesłał do dzienników pismo, w którem tłumaczy zwłokę w zwołaniu komisyi tem, że referent komisyi dr. Starzyński dotychczas nie przedłożył mu referatu. Natomiast *Gaz. Narodowa* twierdzi, iż referat jest ukończony i że treść jego jest już znana wielu posłom sejmowym. *Gaz. Wieczorna* donosi, że dr. Leo zdecydował się zwołać komisyę w końcu września b. r.

Nauczycielstwo ludowe. W dn. 9. bm. obradował w Krakowie zjazd delegatów kraj. Związku nauczycieli ludowych. Między innemi uchwalono nast. rezolucyę: „Zjazd domaga się najszybszego zreformowania nauczania i wychowania i utworzenia w seminaryach laboratoryów pedologicznych. Jęz. niemiecki zjazd uważa za szkodliwy w szkole ludowej i domaga się usunięcia go z planu naukowego“.

Sp. X. Kardynał Puzyna. Dn. 8. bm. po długiej chorobie zmarł ks. kardynał Jan Puzyna, książę biskup krakowski, członek Izby Panów i Sejmu krajowego. Urodzony w r. 1894 w Gwoździcu w Galicyi, otrzymał w r. 1870 tytuł doktora praw, w 1878 święcenia kapłańskie, r. 1880 mianowany został kanonikiem katedry przemyskiej, w r. 1886 został biskupem-sufraganem lwowskim, w r. 1895 księciem biskupem krakowskim, w r. 1901 otrzymał godność kardynała, w tej godności brał udział w conclave po śmierci Leona XIII; w ostatnich czasach po śmierci ks. Ledóchowskiego był jedynym Polakiem-kardynałem.

Z zaboru rosyjskiego.

Sprawa chełmska. Dzienniki petersburskie donoszą, iż wszystkie ministerya porozumiały się, aby do czasu uchwalenia przez izby prawodawcze projektu oderwania Chełmszczyzny żadne z ministeryów nie zezwalało na zakładanie na terenie przyszłej guberni takich instytucyi, które byłyby niezgodne z projekiowanem urządzeniem guberni. W tym celu utworzono specyalną komisyę, która ma „opiekować się“ ziemią chełmską.

Samorząd ziemski w Królestwie. Jak donosi *Now. Wremia*, gen. Skałłon złożył w Petersburgu referat o pożądanych zmianach w projekcie ziemstw dla Królestwa Polskiego, w tym kierunku, aby zostały one wprowadzone w najbliższej przyszłości, chociażby przed zaprowadzeniem samorządu miejskiego. Zaznaczyć należy, że projekt ziemstw nie jest jeszcze opracowany przez komisye dumskie, wątpliwem jest przeto, aby Duma zdążyła go przyjąć w tej jeszcze kadencyi, która,jak wiadomo, kończy się jesienią roku przyszłego.

Przeciwko OO. Karmelitom. Gubernator płocki zawiadomił jedyny w Królestwie klasztor OO. Karmelitów w Oborach pod Włocławkiem, że Karmelitom oborskim zabrania się spełniania wszelkich posług religijnych, głoszenia kazań, odbywania spowiedzi, celebrowania nabożeństw a nawet udawania się do chorych z ostatnimi Sakramentami, bez otrzymania każdorazowego zezwolenia gubernatora. OO. Karmelici spełniali obowiązki swojej reguły z wielką korzyścią dla społeczeństwa, jednając sobie w całej okolicy powszechny szacunek i miłość. Utrzymywali się z ofiarności społecznej, ponieważ rząd, zagrabiwszy dobra klasztorne, płaci zakonnikom pensye, jakie nie mogą zaspokoić najskromniejszych wymagań.

Uniwersytet warszawski. Według brzmienia nazwisk słuchaczów, przyjętych w r. b. na uniwersytecie warszawskim, liczba Polaków przedstawia się jak następuje: na ogólną liczbę 307 nowoprzyjętych Polaków jest 72, w tem na wydz. medycznym 37, prawnym 20, fiz.-matematycznym 12 i filologicznym 3. Cyfry te dowodzą, że bojkot nadal trwa. Żydów przyjęto 60, reszta Rosyanie, w przeważnej części z głębi Rosyi.

Z zaboru pruskiego.

Kurczenie się ziemi polskiej. Kościańska *Gazeta Polska* donosi, że w Radaszkowie pod Książem 120-morgowe gospodarstwo Franciszka Kubiaka przeszło w posiadanie Niemca, wnuka Kennemana. Księża polscy z sąsiednich parafii nie szczędzili zabiegów, aby Kubiaka powstrzymać od sprzedaży. Dodać należy, że ów Kubiak był członkiem dozoru kościelnego i mężem zaufania polskiego komitetu wyborczego oraz człowiekiem majętnym.

Socyaliści w zab. pruskim. Polska partya socyalistyczna w zab. pruskim nie ma szczęścia: pomimo znacznych i corocznie większych subwencyi od towarzyszy berlińskich liczba adeptów polskiego socyalizmu nie tylko nie wzrosła, ale owszem zmalała. Sprawozdanie r. 1910 wykazywało członków pps. 2195, w r. b. zaledwie 2085 pomimo 28 tysięcy marek otrzymanych od zarządu stronnictwa. Podobno na tegorocznym zjeździe socyalnej demokracyi w Jenie delegaci z Berlina, wbrew życzeniom przyjaciela Polaków Bebela, mają się domagać zniesienia p. p. s. i wcielenia jej w kadry ogólnej organizacyi.

Nowy naczelny prezes. Pisma berlińskie coraz natarczywiej notują pogłoski o bliskiem ustąpieniu naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego Waldowa i mianowaniu jego zastępcą prezesa regencyi w Opolu v. Schwerina. Ile jest w pogłoskach tych prawdy narazie niewiadomo. Na zmianie tej Poznańskie nic nie zyska: p. Schwerin choć dopiero od r. 1907 rządzi w Opolu, ale zdążył już dotkliwie dać się we znaki społeczeństwu polskiemu na Śląsku.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Administracya otwarta w dnie powsz. od 10—12 przed poł. i od 4—6 wiecz
Sekretaryat redakcyi urzęduje w dnie powsz. od 5—6 wieczorem.

Redakcya i administracya: Lwów, ul. Asnyka 1, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Jakubowskiego i Sp. we Lwowie, plac Bernardyński 7.